

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok VI

Warszawa, an. 4 VI. 1950 r.

Nr 22 (253)

JÓZEF BIENIEK

ROZMOWY NA DRODZE

DROGA wybiega z miasta. Potem siedemdziesięcioma zakrętami wije się jak glista przez siedem dolin, siedem rzek i siedem gromad, aż wpad do wielkiej szosy łączącej Podhale z Kielcami.

Kiepska to droga, mało ludna i mało ważna. Zwyczajny ściek interesów i spraw jednej tylko gminy — siedemnastu gromad. Weszła w inwentarz dróg Polski Ludowej jako idealny przykład tego, jak nie powinna droga wyglądać. Ślawi jej karkołomne cnoty popularne w tej okolicy piosenka:

Co to za droga, gdzie toną wozy,
gdzie nogi łamią świnię i kozy —
Dziura na dziurze, na dziurze
dziura,
a na tej dziurze jeszcze jedna
dziura...

Aut chodzi tedy nie wiele i tylko w okresie suszy. Dzieci do szkół w mieście też nie dużo — 3—8 z gromady. Widzi się za to mnóstwo kobiet, które marnują czas na szukanie w mieście akurat tych artykułów, których na miejscu w filiach G.S-u jest do diabła.

Wzdłuż tej drogi żyją ludzie w miarę biedni, w miarę zacofani. Ale nic w tym dziwnego, skoro najbogatsze są tu tradycje i plotki, a najuboższe biblioteki i świetlice. Ludność czyta najchętniej pobożne kalendarze z okresu przedwojennego i mniej chętniej pożyteczną „Gromadę”, która mimo wszystko powolutku swoje robi.

Ale i na tej drodze zaczyna się nowe. Jeszcze tylko na drodze, jeszcze w formie raczej zewnętrznej. Ale i to znaczy już wiele. Oto w roku ubiegłym rozpoczęto na niej wielkie roboty, mające na celu gruntowną jej przebudowę i założenie nawierzchni z kostki betonowej. Plan sześciolatni zlikwiduje największą bolączkę tutejszego terenu, a specjalnie Gminnej Spółdzielni, która w okresie roztopów i błot, wożąc towar czterokrotnie dłuższą drogą okrężną, traci na tym olbrzymie sumy.

Taką to drogą wybieram się pewnego majowego dnia porozmawiać z ludźmi o pokoju i wojnie.

O maju mówiono kiedyś, że to miesiąc miłości, słowików i poetów. Dzisiejszy maj poprzestawiał stare prawdy na nowy sposób. Dlatego nowe pieśni poetów przestały wielbić słowiki, bzy i mgły, a zaczęły opisywać człowieka i jego trud.

Choćby taki szary, niewdzięczny i wysmiewany — jak tłuścienie kamieni. Właśnie tłuścieniom, nieznanym bohaterom naszych dróg, otaczanym przez tyle lat pogardą głupców i pyszaków, należy się najpiękniejszy poemat. Równie piękny jak poemat Pablo Neruda o Drwalu. Zawszeza takim tłuścieniom jak ten, o którym zaraz napiszę.

Na piątym kilometrze wspomnianej drogi tłuście stary Szczurek. Obsługuje tą drogę przeszło dwadzieścia lat. Stukł zapewne parę tysięcy metrów, które gdyby zesypać razem stworzyłyby górę jak Giewont.

Długoletnie obcowanie z kamieniem sprawiło, że postać Szczurka ma w sobie coś ze skały — jakąś twardą szorstkość i granitową moc. Syn bezdomnej wyrobownicy i nieznanego ojca miał młodzież głodną i bójkę, syną z awanturę i burd. Prał nawet gazdów, u których od czasu do czasu popadał w niewolę, aby zdobyć kawałek chleba, i który zbył obcesowo chcieli poskramać jego niesforny temperament. Przeprowadza mu z tego powodu smutny koniec. Ale nie spełniło się. W tej zaś setce bójek, które stoczył w młodości, kryło się coś więcej niż ludzie zdolni byli doirzeć. To był bunt biedaka bez dachu nad głową, bez nazwiska, bez czci, bez kawałka własnego chleba. Bunt przeciw tym, którzy to wszystko posiadali.

Za żoną otrzymał ćwierć morga ziemi i teraz z tą samą pasją, z jaką walił tych, którzy mu weszli w drogę, rzucił się do tworzenia podstaw życiowych dla założonej rodziny. Nie powiodło się. Zbyt szybko przybywało dzieci, zbyt wolno — zagonów. Bilans końcowy: ośmioro dzieci — trzy morgi. I małeńki domeczek. Od skrajnej nędzy ratowała droga i kamienie. Ciężka to praca tłuścienie kamieni, ale hardy biedniak powiada, że wolał to, niż wystugiwanie się bogaczom.

Dziś jest mu lepiej, choć stary. Ma małą rentę z Ubezpieczalni

i wielką nadzieję w synie, który jest przodującym uczniem szkoły handlowej i przodującym aktywistą szkolnego koła ZMP w Nowym Sączu.

Jest godzina drugiego śniadania. Szczurek na chwilę odkłada młot, aby przegryźć kawałek chleba. Ale nawet wtedy nie próżnuje — czyta wyciągniętą z sakiew książki, którą dostał syn, jako nagrodę za pracę społeczną na terenie szkoły.

Przysiadam się do niego i gawędzimy. Nie łatwo jest rozruszać mruka, który połowę życia przemilczał przy kamieniach, zasypywany pyłem, obryzgiwany błotem i pogardliwymi spojrzeciami. Ale, gdy się już odemknie staremu mowa, zdumiewać się trzeba przedziwną oryginalnością jego poglądów i opinii, śmiałością sądów, trafnością definicji. Kochając książki, przeczytał ich wiele. Przeczytał i przeżył, zdobywając głęboką kulturę wewnętrzną i umysłową.

— Gdybym był Bogiem — mówi, gdy potrącamy o aktualne tematy — ale takim, który naprawdę kieruje losami narodów i państw, skłoniłbym z wojną raz na zawsze, wysyłając na nią tylko tych, którzy marzą o niej, jak o wyspie skarbów — pasibrzuchów, kapitalistów, spekulantów.

Dolinę wypełnia potężny łoskot metru. Jedzie dziesięcioletni „Mack”, z ładunkiem kostki, ciągnąc za sobą kilometrówy ogon kurzu. Na moment giniemy w gryszącym obłoku. Dopiero mocniejszy powiew przegania pylną zawiesinę, wypełniając powietrze słodkim zapachem kwitnących gdzieś sadów.

— Za parę lat — mówi Szczurek, patrząc za autem — gdy wszystkie drogi otrzymają nawierzchnię z betonu czy asfaltu, zniknie gorzki los tłuścieniacza i żrący ludzkie płuca kurz. Ale na to trzeba pokoju. Oby ci — skanduje zawzięcie — którzy gromadzą belki konfliktów i układają z nich stos wojny, nim go podpała, wyzdychali jak psy... Oby zginęli zaduszeni rękami ludu, dla którego rychtują śmierć. — I ścisła ogromne pięści, jakby sam chciał chwycić za gardło któregoś z zawodowych wojnorobów podtrumańskiej gwardii.

Cztery kilometry dalej stoją nad drogą trzy domy. Nowe, nie wykończone jeszcze. W tym miejscu rozegrała się kiedyś tragedia. Jedną z wielu walcących wojnie. Było to we wrześniu 1939 r. Zaraz w pierwszym dniu wdarła się na te tereny wojsk niemieckich. Jakis romantyczny bohater, typu „nie damy ani guzika” wygarnął do jadących kolumn samochodowych z... dubeltówki. Las podchodził w tym miejscu ku samej drodze, łatwo więc było bohaterowi puknąć z ukrycia i zwać. Skutki były mniej wesołe. Rozwścieczeni faszyci z miejsca pokazali do czego są zdolni. Otoczyli najbliższe domy i podpalił je, zamykając w nich wszystkich mężczyzn, jakich udało im się w domach zastać. Zginęło ich wtedy pięciu. Szósty jakimś cudem wyczołgał się z płonącej chaty i uciekł.

Widzę go właśnie na osiedlu — układa kupę kompostową. Rozmawiamy. Nie, nie zapomniał jeszcze. Na wzmiankę o wojnie obejmuje spojrzeniem całe obejście i zatrzymuje wzrok na nowym domu. Wiem, co myśli, czego się boi. Ten dom, to przecież góra trudu, nieprzespanych nocy, jałowych posiłków i paroletnich zabiegów. Jawi się oczom chłopca krwawa wizja tamtej chwili, a raczej możliwość powtórzenia się jej i twarz przed chwilą uśmiechnięta zachodzi cieniem gniewu.

Nad lasem, z którego padł kiedyś fatalny strzał, unosi się jak srebrzysta kurzawa ptasi śpiew. Za stodołą rozległy łąn żyta faluje w krótkich malotkach wiatru, szleszcząc miękko młodymi kłosami. A potem znów głuszy wszystko ciężkie sapanie traktora. Pełnie wolniutko, podskakując na wybojach i wlecząc przyczepę pełną towaru dla G. S. Chłop wciąż patrzy na dom, to znów na pojazd, gdzie bieją bele płótna, lśnią się wiadra, podskakują zwoje kiełbas, i wargi mu się trzęsą jakby się rozplakał miał.

(Dokończenie na str. 7)



Piotr Wyrobek*)

Idę złożyć podpis mój

Idę złożyć podpis mój.

By był lepszy jutra świt

... Sztokholm woła: „Z wojną precz!”

— Na nic ów żelaza przetyl! —

— Pokój Świata — święta rzecz!

— Echo niesie z miast, z wsi, z gór

Gromkie słowa: Z wojną precz! —

— Lecą aż do czarnych chmur.

— Podlegaczy strąca w dół!

Znana nam Apelu treść.

Pod nią kładźmy podpis nasz

I wołajmy: Z wojną precz!

— Pokój Świata — wielka rzecz!

Maj 1950.



Eleonora Dalin

Słuchaj Ameryko!

Mówią dzieci z góralskiej wioski —

Dzieci owce pasące po grapach:

— Miły nam jest wiosenny rozkwit

pól rodzinnych i lasów zapach.

Miły nam jest ciemny kęs chleba,

Wyzłocony słońcem, jak miodem.

I pieśń, którą ptak przyniósł z nieba

nad spaloną naszą zagrodą.

Błyszący w słońcu ostre siekiery

Białe belki w stropy się wiążą,

Dach spadziści i ściany cztery

Rażno w górę pną się i dązą.

Drwal podkowie przybił na progu

w nowym domu ludziom na szczęście

Więc piszemy dziś słowo — „Pokój!” —

i — „Precz z wojną!” — na transparencie.

My się chcemy uczyć spokojnie!

Niech nas dziś już wojna nie strasza!

Nam zabili braci na wojnie,

i krwią ziemia przesiąka nasza.

Niech nie mać wieczornej ciszy

krzyk obdętny twój, co się zbroja.

— Dzieci kładą swoje podpisy

pod Sztokholmski apel pokoju!

W NUMERZE

ST. CIESLAK — Największy kapitał E. NIZIURSKI — Reportaże Zalewskiego
T. GONERA — Nowe kadry P. TURKOWSKI — Wiedza o literaturze
ST. TAZBIR — Rola książki J. PIÓRKOWSKI — Lonty rewolucji
FL. BIENKOWSKA — Rubikon (dramat) J. M. GISGES, A. KULESEW — Wiersze
H. KIRCHNER — Powieść Żuławska Z. CHYLINSKI — Krytyka idealizmu
ST. MĘDELSKI — Cyrk Humberto J. KORYCKI — Plantator Scmpek

SEWERYN SKULSKI

PLON TRÓJKI

I tym razem, po zorganizowaniu Gminnego Komitetu Pokoju, nie zapomniano i o mnie. Jestem w trójce. Ja, Kucharska Zofia i Bartczak Aleksander, żywy i rezolutny chłopak. Ja, wiadomo, przez 25 lat robotnik fabryczny — dziś gospodarz na 7 ha. Koleżanka Kucharska członkini ZMP i uczennica gimnazjalna, córka 7-mio h. gospodarza. Przed wojną jej rodzicom ani się śniło o szkoleniu córki w gimnazjum.

Wesoła i żywa dziewczyna. Wszystkich na terenie zna, do każdego umie coś powiedzieć, co wiąże się z naszą pracą, pomaga nam.

Bartczak Aleksander, dwudziesto kiloletni obrabia swoje trzy ha, przy matce i siostrze ze szwagrem. Stał się muzykantem samodzielnym — jest w ludowej orkiestrze a pozatem, jak gdzie wesele on pierwszy.

Na odprawie powiatowej powiedzieli nam wiele, ale nie powiedzieli nam wszystkiego, a może nawet i nie mogli powiedzieć, nie znając naszego terenu. Traf chciał, że tydzień przed tem, pragnąc się dowiedzieć, jakie kto gazety opłaca i ile ludzi w domach czyta właśnie obszedłem tę dzielnicę, którą Gminny Komitet Pokoju wyznaczył do zbierania podpisów naszej trójce. Wiem już zatem, że tam czyta się 14 „Rolników Polskich”, 11 „Gromad”, 6 „Chłopskich Dróg”, 5 „Przyjaciółek”. Razem 36 numerów gazet na 42 rodziny. Wiele i mało, ponieważ czyta się to w 28 rodzinach a w 14-tu rodzinach nie czyta się nic. Te 36 numerów różnych pism pomoże nam w zbieraniu podpisów, ale w czterestu domach, gdzie się nie czyta nic — sami sobie musimy pomagać. Tam może jeszcze nie nikt nie powiedział o walce o pokój, o walce z podlegaczami wojennymi, którzy chcą narzucić imperialistyczne panowanie światu w celu niewoli i rabunku narodów. Natomiast wiemy, że w dzielnicy, dokąd idziemy, już nasz wróg klasowy rozpuszcil wieści, że lepiej nie podpisywać, bo kto wie na co to jest.

Nie żałuję się pozatem innych przypuszczeń i domysłów i „prawd”.
Z takimi i innymi oszczerstwami poprzedał nas wróg klasowy. Idziemy wprawd do ludzi pracy, ludzi sprawiedliwych, ludzi myślących i czytających bo akurat nasz wróg klasowy nie czyta, jemu wrogosc ducha karmi.
Dziś mamy odwiedzić całą rodzinę małorolnego Cybulskiego, całą rodzinę Bartczaków, Kaczorowskich, Ignatowiczów, Cyraniowiczów, Głowackich, Wiśniewskich, Wojciechowskich, innych i jeszcze innych. W domach w których czytają gazety, niektórzy już wiedzą za czym do nich przychodzimy — proszą żeby usiąść, niektórzy sami zaczynają rozmowę na temat wojny, pokoju. Zdecydowanie i śmiało przeciwstawiają się zamiarom podlegaczy wojennych. Wnioskujeją, iż taki wielki wynalazek jak siła atomowa nie do zniszczenia, nie do zbrodni, nie do śmierci i nieszczęścia ludzi wina się przychycać, ale dla dobra ludzkości, dla zastąpienia siły mięśni ludzkich, dla ulżenia nam w pracy:

— Zeby ich jasny piorun trafił z ich wojnami. Już przeżyłem dwie wojny. Podpisuję listę, bo wojny nie chcę. Przekliam wojnę i boję się jej. Ale gdy ją wywołają w celu grubych zarobków na krwi i zbrodni, bał się jej nie będę. Nie ci ją skończą, którzy prowokacjami rozpoczyna. Będzie to wtedy naprawdę ostatnia wojna.

Jest sobota po południu. Niektórzy jeszcze pracują na polach koło domów. Zbliżają się do nas, podają ręce i podpisują. Mało gdzie trzeba sięgać do przekonania o słuszności i obowiązku złożenia podpisów. Wiadomo, wojna to nieszczęście. Przychodzimy do Kaczorowskich. Akurat powrócili z pola od sadzenia ziemniaków. Rodzina to duża. Są dorośli nie małoletni. Ojca zastąpili Niemcy. Matka zmarła, gospodarke zastąpił po wojnie zniszczona i jakoś podnieść jej nie mogą. Mają 10 ha, które rozdzielił pomiędzy siebie. Nie dla uniknięcia podatków, ale każdy z dorosłych chciałby pracować na swoim. Pracownicy są ci, nie wygadani, zgodni. Ich dobroć, wykorzystuje wymowny i pomysłowy szwagier jak tylko może. Wiosną idzie, jeden z Kaczorowskich drapie się po głowie: Co to będzie, czemu ja nie mogę objąć? Szwagier kombinator,

śmieje się i mówi: — Nie martw się, tak źle nie będzie. Dam ci pół korca owsa a ty mi dasz obcnik.

Za pół korca owsa, czyli za jedne tysiąc złotych, bierze 2 wozy obcnika, nagnoi sobie dobre hektar ziemi, ziemia mu urodzi a „kochanemu szwagierkowi” znów ziemia nie urodzi, będzie w łapiach chodząc.

Kaczorowscy spracowanymi rękami podpisują listę z uśmiechem na ustach, ze to czynią. Odzywa się, może 60 lat licząca Wiśniewska Zofia, mieszkająca razem z rodziną Kaczorowskich. — Czy mało wojnie moich dwóch synów, których mi zabrała. Ja wojnę przekliam i każda matka tak powinna czynić. Czy na to matka ślęczy nad kolebką i potem cieszy się ze zdrowego dziecka, aby żył wylewała po stracie dziecka:

— Dobrze mówicie — wtraca Bartczak. Ale same przeklinanie wojny to nie dosyć. To wojny nie zwalczy. Nawet wasz i mój podpis na tej liście to jeszcze nie wystarczy, co chydre wojennej drodze do nas i narodów różnych zagrozi. Tu trzeba stałej walki, stałej pracy, stałego dążenia nas wszystkich do pokoju, a pokój możemy mieć tylko wtedy, gdy wszystkie narody świata przez podniesienie swojej pięści, zgruchoczą system wojny i zbrodni.

Mamy już ponad 50 podpisów. Teraz już idziemy i do tych, co „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi”. Wita nas zimno 18-hektarowiec. Uduje że wojny nie będzie, a jego podpis nie nie pomoże.

Podsuwamy mu listę pod nos. Czyta, ale się jąka i robi to bardzo długo. Patrzy na podpisy i to go zbija, że ich już jest ponad 50. Te 50 podpisów są tą siłą moralną, która każe mu się skruszyć. To siła protestu, która i robi zmusza do podpisu. Mruczy, sapie i choć lista ma tylko dwa arkusze papieru, rozdmuchuje je, próbując palcami czy tych arkuszy więcej nie ma. A może kolchozy z tego zrobicie, dodaje śmieszkiem?

— Nie, obywatelu — powiadam. My u nas tak Spółdzielni Produkcyjnej zakładać nie będziemy. Nikt wam jej fałszywie nie narzuci. Przed założeniem Spółdzielni Produkcyjnej będzie tu wiele zebrań, dyskusji i objaśnień. Powstanie ona tylko z dobrej i świadomej woli mieszkańców gromady pod hasłem dobra ogólnego z zasad i przekonania nowego życia i pracy socjalistycznego społeczeństwa.

— A no. Jak ci, którzy podpisali już — będą wisieć, niech i ja z nimi wiszę razem. To jest ostatni argument wroga klasowego, składającego ostatecznie swój podpis pod podpisanymi większością uczciwych ludzi, zamieszkujejących wieś. Spotykamy na drodze podobnego pierwszemu i oznajmiamy iż mamy go wkrótce odwiedzić. Gdy przybyliśmy — „nie ma go, wyszedł”. Ale i w tym domu, było także ciepłe ludzkie serce.

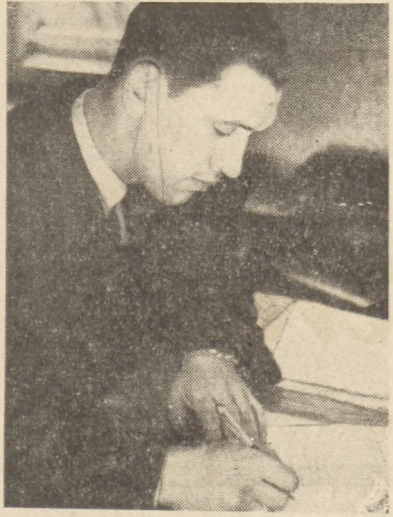
Siedzący pod oknem, dziadek lat 89, złamany życiem na ciele, duchem jeszcze żywy. Ledwo mówi na skutek astmy i paraliżu. Mówi, że wojna to wynalazek ludzi podłych, złych i karygodnych. Gdyby miał zdrowie i byłby młodszy, czyniłby to samo, co my. Jego zdaniem każdy człowiek nie zainteresowany osobistymi korzyściami z wojny, winien zwalczać wojnę, bo to jest sprawa wszystkich sprawiedliwych ludzi. Wziął rączkę z piórem do ręki i podpisał, choć nie równo: „Zaborowski Ignacy”.

Zaciekawil nas. Zaczął opowiadać: — Za szczęściem przepadłem świat cały. Byłem za Bajkałem i w Turkiestanie, jako żołdat carski. Byłem w Ameryce, nie zobogaciłem się i tam. Byłem na Saksach i we Francji. I tam wyzysk i ucisk robotnika. Mój zięć się dorobił i jest wyzyskiwacz, na wsi i tu w domu.

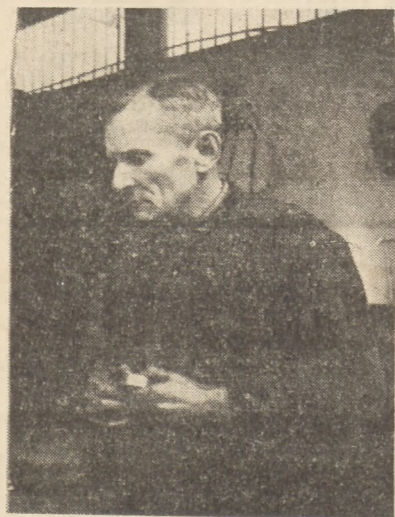
Sztokholmska Rezolucja Obozu Pokoju zwycięży! Kurczów dostanie ta ręka, która miałaby na głowie ludzkie ciskać atomy. Szpawów dostanie ten, który rozkazał taki miałby wydać. Języki własne polykać będą ci, którzy już naprzód obliczyli miliardowe dochody z wywołania rzezi narodów. A do tego pognebnienia podlegaczy przyczyni się każda nasza trójka, każdy podpis zebrany przez te trójki.

Moja wieś nie chce wojny. Mój brat chłop i kobieta wiejska, prości ludzie mówią — Precz z wojną!

S. SKULSKI



Bernard Bugdol, górnik - rekordzista, przodownik pracy powołany został do CZZZ górników w dziale współzawodnictwa pracy



Teodor Maruszew, racjonalizator - brygardziśta Stacji Obsługi PKS Wola



Leopold Górski — przodownik pracy stoczni gdańskiej, odznaczony orderem „Sztandaru Pracy“



Przodownik huty „Sosnowiec - Kataryzyna“, tokarz Kocięba Tadeusz wyrabiający 170 proc. normy

JAN MARIA GISEJES

SZTUKATOR

Stałem przy stole. Mężczyzna przede mną w kombinie szarym, znaczącym więcej niż pieniądze i sława, rękę białą, skrzętną oparł o uda, rękę jak narzędzie.

Godziny, co przeleciały ostrym ptakiem lotem zawiesił na plafonie różami z ogródka, liśćmi z drzew Mariensztatu leżącymi pokotem pod pułapem zamknął swą wizję jak kłódką.

Teraz schylony nisko nad białym papierem trudniejszym aniżeli gips pod powalami, niż zwykła linia giętkiej sztukaterii, kładzie podpis pod sztokholmskimi uchwałami.

Oto zostają ślady — słowa jak materia, z której powstaje dzieło — jak drewno w ognisko rzucone z gniewem — imię i nazwisko — Pewnie to najpiękniejsza jego sztukateria.



Narada produkcyjna w Państwowych Zakładach Przemysłu Azotowego w Mościcach

STANISŁAW CIEŚLAK

NAJCENNIJSZY KAPITAŁ

Revolucyjny przewrót dokonany przez klasę robotniczą przy poparciu pracującego chłopstwa, obalenie władzy kapitalistów i obszarników stworzyło warunki do burzliwego fermentu sił wytwórczych.

Mamy dziś w Polsce dwa i pół razy silniejszy przemysł niż w r. 1938, a masze rolnicze dostarcza na głowę ludności o 1,4 więcej produktów rolnych niż przed wojną, choć zaraz po wyzwoleniu wskutek zniszczeń wojennych i okupacji nasz potencjał przemysłowy i rolny stanowił nie więcej niż 1,3 stanu przedwojennego.

Mamy dziś w Polsce 5 milionów zatrudnionych poza rolnictwem (z tego większość w zawodach produkcyjnych) na 24 miliony ludności. Przed wojną przy 35 milionach ludności było ich nie więcej niż 4 miliony, a ludność miejską i wiejską gniebiło chroniczne bezrobocie.

W wielkim i średnim przemyśle pracuje półtora miliona ludzi, a więc dwa razy tyle co w przedwojennej, kapitalistycznej Polsce. Szybko wzrasta wydajność pracy, która w większości podstawowych gałęzi gospodarki przekroczyła już poziom przedwojenny.

Ludność Polski przyrasta dziś prawie o 50 proc. szybciej niż przed wojną, w tym stopniu bowiem wzrosła przyrost naturalny w r. 1949 w porównaniu z przeciętną lat 1936 — 1938.

Piąta część ludności kraju uczy się w szkołach i na kursach różnych typów i stopni, setki tysięcy pracowników zdobywa i pogłębia swą wiedzę i doświadczenie produkcyjne na drodze samokształcenia i szkolenia w warsztatach pracy. Ruch współzawodnictwa pracy, racjonalizatorstwa i nowatorstwa zabiega coraz szersze kręgi w każdym społecznym zakładzie pracy.

Te wielkie zmiany zasieje w ekonomie naszego kraju, zgodnie ze społecznymi prawami rozwoju, nie mogą nie wpływać na zmianę stosunków społecznych i świadomości społeczeństwa polskiego.

Burzliwy rozwój sił wytwórczych kruszy i łamie trwające jeszcze siłę bezwładu, zacołane stosunki produkcji zwłaszcza w rolnictwie, rzemiośle i handlu, kształtuje nowe poglądy, zmienia ocenę zjawisk i ludzi.

Człowiek pracy, przez ustrój kapitalistyczny kształtowany na bezideową maszynę, zaczyna i siebie i swoją pracę widzieć w zupełnie innym, właściwym świetle.

Zaczyna zanikać ta zmaza czasów kapitalistycznych: codzienna niepewność i troska o chleb, o pracę, o przyszłość dzieci, o niezabezpieczoną starość. Powoli zanika i fetyszizm towarowy, przypisywania złota i pieniądza jakiejś dziwnej a tajemniczej siły dającej władzę nad ludźmi i nad rzeczami. Dla biedoty wiejskiej zdobywie morgów, przestaje być głównym celem życiowym.

Jeszcze niekiedy fale tego lęku o jutro, umiętnie podsypane przez elementy kapitalistyczne i spekulankie, przewalają się od czasu do czasu przez społeczeństwo, w formie masowego na pewnych terenach wykupywania raz prosku do prania, innym razem tekstylii czy cukru, bo może... jutro nie będzie. Ale to są już fale zanikające.

Klasa robotnicza nie tylko bowiem widzi stałą poprawę zaopatrzenia, warunków mieszkaniowych, ochrony zdrowia, stwierdza rozszerzone możliwości pracy, doświadcza realności swego awansu społecznego, ale i rozumie, skąd to wszystko się wzięło. I dlatego coraz bardziej świadomie sięga po nowe narzędzia pracy, po nową jej organizację, przekracza stare normy i plany produkcyjne, domaga się pomocy od uczonych, śmiało kieruje procesami produkcji, narzuca tempo starej inteligencji technicznej, zaczyna ją wyszukiwać po wszystkich zakamarkach życia społecznego i ściągając do warsztatów produkcyjnych, otacza coraz większą opieką młode, narastające kadry.

„Wzmożona aktywność nie zamyka się bynajmniej tylko w

obrębie klasy robotniczej... Promieniuje ona przede wszystkim na chłopstwo pracujące... dociera również do zacołanych i skleryzowanych środowisk, budzi ferment i pogłębia przeciwieństwa w środowiskach ideologicznie obcych, a nawet wrogich.“

Chłop mało i średniorolny nie tylko doświadcza na każdym kroku stałej troskliwej opieki i pomocy rządu ludowego, odczuwa swój szybki rosnący dobrobyt, widzi, że wzrost produkcji nie prowadzi do głębszego ubóstwa, że ceny niekorzystne dla wsi były wynikiem zmywu kapitalistów i mogą być kształtowane z korzyścią dla pracującego chłopstwa dopiero w warunkach dyktatury proletariatu i sojuszu robotniczo - chłopskiego, i też zaczyna rozumieć dlaczego to się dzieje. I dlatego nie miało jeszcze, ale sięga już po nowe środki produkcji, po książkę i gazetę, rozszerza kontakty, szuka nowoczesnych sposobów gospodarowania na drodze spółdzielczości produkcyjnej, zaczyna rozumieć, że do zamocności i kultury nie dochodzi się na drodze indywidualnego sprytu i przebiegłości, lecz przez zespolenie pracy i wysiłków ludzi pracy na wsi i w mieście, w ostrej walce klasowej z bogaczami wiejskimi i spekulantami.

Wiele się podejmuje dziś czyni melioracyjne. Dawniej przy melioracjach najważniejsze to było to: o ile więcej na moim polu wyrośnie, a dziś coraz więcej chłopów mało i średniorolnych rozumie, że z tych melioracji podejmowanych w ich wsi wyrastają drogi, szkoły, nowe fabryki, szpitale u nich i gdzie indziej, że dzięki tym melioracjom potężnie strumień towarów i usług płynących do wsi, że dzięki tym melioracjom wzmacniają się ich siły w walce z bogaczami wiejskimi.

W ten sposób po raz pierwszy w historii narodu wybija się na czoło „społecznego życia twórcza inicjatywa mas pracujących, która nie tylko przypięsza, racjonalizuje i ulepsza, ale nadaje nowy sens ca-

łemu procesowi pracy ludzkiej. Przeobraża ona do gruntu, zmienia od podstaw nie tylko społeczne stosunki produkcji, ale i samych ludzi.“

Byłoby jednak wielkim błędem sądzić, że powstawanie nowej świadomości na skutek przemian ekonomicznych zachodzących w kraju odbywa się bez walki, następuje samo przez się, samorzutnie i automatycznie. Wróg klasowy nie śpi i robi wszystko, co może, a jeszcze dużo może, aby to narastanie nowej świadomości jak najbardziej opóźnić.

Te wielkie perspektywy trwającej u nas rewolucji socjalistycznej na tle bieżących zadań Partii, mobilizującej masę pracującą Polski Ludowej do walki o pokój, do walki o wykonanie Planu Sześcioletniego — ukazane zostały wyraźnie w referacie Przewodniczącego KC PZPR ob. Bolesława Bieruta na IV Plenum.

Rewolucja socjalistyczna choć wyrasta na podłożu ekonomicznych sprzeczności ustroju kapitalistycznego, nie jest tylko walką o chleb, o pracę, o lepsze warunki materialnego życia. Od tego się zaczyna, ale w marszu rozwija się w walkę o pełne wyzwolenie człowieka, o prawo czynnego udziału w zbiorowej twórczości narodu, o możliwość kształtowania jego dzieł.

Świadomość, że „o losach państw i narodów decydują teraz nie tylko wódzowie, ale przede wszystkim i głównie miliony mas pracujących, przenika dziś coraz szerzej i głębiej masę pracującą Polski Ludowej. Rodzi się jednocześnie uzasadnione zaufanie we własne siły i zdolności oraz przekonanie, że potrafimy w przeciągu lat sześciu uczynić pracą zbiorową z Polski, jeden z przodujących krajów świata, i usunąć resztki także zacołania i opóźnienia, oddzielenego po ustroju kapitalistycznym, które ciężkim brzemieniem kładzie się jeszcze do dziś dnia na barki mas pracujących. Stąd ten optymizm społeczny i radosny stosunek do życia, który tak uderza wszystkich

cudzoziemców przybywających z kapitalistycznej strony.

Nie jest wcale przypadkiem, że te historyczne perspektywy, których zrozumienie coraz głębiej i szerzej przenika dziś do świadomości mas pracujących, sformułowane zostały na tym plenum, które jest pierwszym plenum w okresie Planu Sześcioletniego.

Przecież Plan Sześcioletni Budowy Fundamentów Socjalizmu, to dalszy olbrzymi krok w rozwoju sił wytwórczych, to potrojenie naszego potencjału przemysłowego w por. z r. 1949, to dalszy rozwój i umocnienie uspołecznionej gospodarki, to przebudowa rolnictwa na bazie spółdzielczości produkcyjnej, to dalszy wzrost oświaty i kultury w Polsce, to ukształtowanie się nowej milionowej inteligencji wywodzącej się z ludu i razem z nim budującej nowe życie.

Nowe czasy, które idą, pełne „rewolucyjnych przeobrażeń gospodarczych i społecznych, dzięki którym szybciej rosną i przekształcają się ludzie“, czasy wzmocnionej walki klasowej, o ograniczenie i usunięcie z nowego ustroju elementów kapitalistycznych wymagają „większej troski o ludzi, o masę pracującą, które uczą się cenić pracę i poprzez pracę dźwigać wwyż swój naród i samych siebie.“

W warunkach władzy ludowej, dyktatury klasy robotniczej, uzbrojonej w teorię marksizmu-leninizmu w doświadczenia budownictwa socjalistycznego w Związku Radzieckim żywiołowy proces rozwoju ustępuje miejsca planowej, świadomej działalności ludzkiej.

Dlatego też elementy żywiołowości, brak perspektywy i orientacji w skali potrzeb w dziedzinie wychowania i przygotowania ludzi, zdolnych do budowania fundamentów socjalizmu w Polsce musi ustąpić miejsca planowej polityce kadr.

Kiedy kapitalista przystępował do nowego zadania, liczył przede wszystkim pieniądze, ile ma i ile zyska, nie myślał ani o ludziach ani o ich pracy, ani o ich potrzebach. Miliony ludzi przeciw czekały na pracę i nie dla nich zresztą powstawały nowe miasta, zakłady przemysłowe czy linie komunikacyjne.

U progę największego w naszej historii dzieła, jakim jest Plan Sześcioletni, Partia, przodowniczka narodu, stawia przed klasą robotniczą, przed całym społeczeństwem właśnie najpierw sprawę kadr, bo „ze wszystkich istniejących na świecie cennych kapitałów najcenniejszym i najbardziej decydującym kapitałem są ludzie — kadry“.

Ale trzeba o tym pamiętać, że prawidłowe i słuszne postawienie tego zagadnienia możliwe jest tylko w warunkach rozwijającej się i pogłębiającej się rewolucji socjalistycznej tylko wtedy ma ono pełne pokrycie i pewność realizacji.

STANISŁAW CIEŚLAK

*) Z referatu Przewodniczącego K.C. P.Z.P.R. ob. Bolesława Bieruta na IV Plenum.

**) J. Stalin, Zagadnienie leninizmu, str. 393.

***) J. Stalin, Zagadnienia leninizmu, str. 455.

STANISŁAW TAZBIR

ROLA KSIĄŻKI

W OFENSYWIE KULTURALNEJ

Nie wiem czy posiada ktoś dane, któreby wyjaśniały, jak „kalkuluje się“ sprawna działalność biblioteczna pod względem finansowym. Ogólnie przyjmuje się jednak za rzecz wiadomą, że jest to działalność dość kosztowna. Fakt, że w okresie Planu 6-letniego należałoby wyłożyć na biblioteki powszechne i kosztą ich obsługi sumę dochodzącą do 5 miliardów złotych zmusza do stwierdzenia, że akcja biblioteczna, prowadzona w dużych rozmiarach, wymaga nie tylko w przypadku specjalnym instytucyj ale i na codzień ogromnych nakładów. Recz jasna, zagadnienie finansowe, jakkolwiek bardzo ważne, nie może być decydujące, gdy wydatki są konieczne ze względu na celowość przedsięwzięcia z punktu widzenia interesów ogólnie państwowych. Tak właśnie ma się sprawa w danym przypadku tj. gdy chodzi o biblioteki powszechne. Z czego jednak nie wynika, że zainteresowani działacze, bibliotekarze i oświatowcy, nie mają wykazywać stałej, poważnej troski o to, aby uczynić akcję biblioteczną jak najwydatniejszą, tj. prowadzić ją możliwie ekonomicznie.

Akcja ta pozostaje od przeszło 2 lat pod hasłem „ofensywy kulturalnej“, a ściślej pod hasłem „upowszechnienia czytelnictwa“. Hasłom tym dała początek historyczna Mowa Wrocławska Prezydenta Rzplitej z listopada 1947 r. Jak wiadomo wkrótce po tej mowie, gdyż już w pierwszych dniach marca 1948 r. ogłoszona została uchwała Rady Państwa, którą można nazwać programem w sprawie upowszechnienia i pogłębienia czytelnictwa w kraju. Byłoby, oczywiście, zbędnym przypominać treści tej uchwały, gdyż niewątpliwie pozostaje ona żywo w pamięci tych wszystkich, którzy interesują się sprawami szerzej

nia oświaty i kultury, a w szczególności sprawą książki w Polsce Ludowej.

Sążę natomiast, że warto uczynić parę przypomnień, które wskażą na historyczną walkę o książkę „powszechną“ i na stosunek do książki i bibliotek powszechnych, jaki wykazywał od początku i wykazuje obecnie Rząd Związku Radzieckiego.

Walka o książkę, o wykorzystywanie jej jako broni w arsenale środków zapewniających władzę, trwa od wieków. Od 100 lat z górą problem książki wyrastał coraz bardziej na zagadnienie o znaczeniu ogólnie politycznym, by dać mniej więcej w połowie XIX wieku początek politycznemu systemowi bibliotecznemu w wielu państwach. Wprawdzie jeszcze w r. 1825 w Królestwie Sardynii wzbrażano nauki czytania tym, którzy nie mogli wykazać się majątkiem przynajmniej 1500 lirów, ale już w 1858 r. rodzi się pierwsza ustawa biblioteczna. Głosi się wtedy, że książka dostarczy „zdrowego pokarmu dla duszy“, że stanie się „środkiem przeciwko rozrywkom knajp i szynków“, że jest „równie pilną jak zapożyczenie wymagań sanitarnych“. Przemawiali już wówczas za książką „powszechną“ tacy pisarze jak np. Carlyle i tacy politycy konserwatywni jak Disraeli, a nawet lord Gladstone apelował do kolegów lordów, choć bezskutecznie, aby zakładali po wsiach biblioteki. Niebawem i na ziemiach polskich miało zbudzić się hasło: „oświata ludu dokonana cudem“. Wszędzie intencja pod przyłbicą humanitaryzmu, filantropii itp. była ta sama: łagodzić, łagodzić przy pomocy bibliotek „ludowych“ coraz silniejsze antagonizmy klasowe.

Bez maski „humanitarnej“ wystą-

pił wreszcie w r. 1893 pruski minister spraw wewnętrznych: po prostu wydał nakaz landratom, aby zakładali biblioteki „ludowe dla zwalczania demokracji społecznej“.

Proletariat różnych krajów, wzmacniający oraz bardziej swą świadomość klasową i siły organizacyjne, rozumiał, że książka może być skutecznym narzędziem walki z burżuazją i podejmował własną akcję biblioteczną. Toteż już w ostatniej ćwierci XIX wieku jeden ze sprawozdawców natował: „Gdzie największej maszyn, tam największej książek i największe życie umysłowe; gdzie maszyn mało — tam mało książek i puls życia umysłowego słabnie“.



Kiermasz książki w Warszawie

Włościwe miejsce zajęła jednak książka i właściwą rolę zaczęły spełniać biblioteki powszechne — dopiero w Związku Radzieckim. Od pierwszej chwili akcja biblioteczna stanęła tam pod hasłem W. Lenina: „Książka dla mas“. W związku z tym hasłem władza radziecka ogłasza już w grudniu 1919 r. dekret o likwidacji analfabetyzmu.

N. Krupska, żona Lenina pisze do młodzieży (Młody Komunist Nr 3 — 4-1919): „Młodzież bohaterska, z bronią w ręku, staje w obronie rewolucji i jednocześnie dąży do wzięcia udziału w budownictwie nowego życia, w budownictwie jasnej przyszłości. Lecz idąc na front, koniecznie musimy uzbroić się w ka-

rabin. Podobnie, gdy chcemy budować nowe życie, zaopatrzyć się musimy w potęgę wiedzy“.

Wiele lat w trudnych zmaganiach i wspaniałych zwycięstwach przeszło od tamtych czasów. Dziś w Związku Radzieckim akcja biblioteczna ma wielkie znaczenie. Każda republika radziecka posiada gęstą sieć bibliotek powszechnych, opartych o krajową centralę z jednej strony i o biblioteki ruchome w terenie z drugiej. Akcja biblioteczna stara się przetrząść do najdalszych zakątków. Potrafi ona włączyć do pomocy poważne siły naukowe. Pogłębia czytelnictwo pomagając masom zwłaszcza młodzieży w samokształceniu na różnych,

radzieckich oraz w wychowywaniu młodych w poczuciu jedności moralno-politycznej narodu i radzieckiego patriotyzmu.

Nasza „rewolucja kulturalna“ rozpoczęła się niedawno. Ale rzucone hasło „ofensywy kulturalnej“ mobilizuje siły do dalszej, coraz bardziej narastającej walki o upowszechnienie wiedzy i kultury. To upowszechnienie jednej i drugiej określił Prezydent B. Bierut w swoim referacie na Kongresie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w grudniu 1948 r. jako „najważniejsze i zarazem najbardziej zaszczytne zadanie Partii“. „Demokracja Ludowa — głosi deklaracja ideowa PZPR — musi rozwijać kulturę, naukę, sztukę związaną z dążeniami mas ludowych, odzwierciedlającą ich pragnienia, wychowującą naród w duchu humanizmu, demokracji socjalizmu“.

Miejsce i rola naszego ruchu bibliotecznego, masowego ruchu książek „powszechnych“ — są zatem określone. Akcja bibliotek powszechnych winna być szeroka i niezwykle sprawna. Tylko wtedy bowiem będzie mogła w oparciu o dotychczasowe doświadczenia własne i światne wzory bibliotek radzieckich — spełnić pomysłnie te działania, jakie na niej ciąży.

Dane statystyczne z okresu przedwojennego w dziedzinie produkcji książki w Polsce są wysoce niedostateczne. Nie tylko dlatego, że brak wielu źródeł, ale również z powodu niewłaściwych metod w gromadzeniu materiału statystycznego. W latach 1918—1939 prowadzono np. statystykę tzw. druków nieperiodycznych, w których obok właściwej książki umieszczano różne druki nie mające z nią żadnego istotnego związku (odezw, cenniki itp.). Tylko w niektórych latach tego rodzaju druki wyłączało jako tzw. dokumenty życia bieżącego, co pozwalało na wyodrębnienie właściwej statystyki książki. Wg prof. J. Muszkowskiego bibliografia polska za lata 1901—1925 obejmowała 125.384 karty katalogowe. Od r. 1926 do 1933 produkcja roczna wynosiła od 4 i pół do 6 tysięcy tytułów. Od

r. 1934 do 1937 roczna liczba tytułów wzrasta, dochodząc w r. 1939 mniej więcej do 8 i pół tysięcy. Przejętne globalne nakłady były bardzo nieznaczne. Tak np. przeciętny, roczny, ogólny nakład w dziesięcioleciu 1929—1939 wyniósł tylko około 29 milionów egzemplarzy. Czyniło to rocznie przeciętnie 7/10 książki na 1 mieszkańca.

Z cytowanego artykułu St. Staszewskiego dowiadujemy się, że w trzecim roku po wyzwoleniu kraju z okowów hitlerowskiej okupacji, tj. w r. 1947 produkcja wyniosła 39 i pół miliona książek, a na rok 1950 planuje się produkcję książek i broszur w wysokości 85 milionów egzemplarzy. Wykazuje to, że już w r. 1947 przewyższało na 1 mieszkańca ponad 1 i 6/10 książki, a w r. 1950 przypadnie przeszło 3 i pół książki. Ta ostatnia przeciętna (3 i pół książki) w zestawieniu z przedwojenną (7/10 książki) daje stosunek między okresem przedwojennym a r. 1950 jak 1 do 5. Świadczy to o wielkim wysiłku i wielkiej wydajności naszego rynku wydawniczego, dążącego do tzw. odbudowy książki i zaspokajania przez jej wzmocnioną produkcję potrzeb czytelnictwa, stale wzrastających w związku z toczącą się „ofensywą kulturalną“ w kraju. Należy, oczywiście, pamiętać, że w tej produkcji nie idzie tylko o ilość, ale przede wszystkim o jakość.

Warto może zwrócić uwagę w związku ze sprawą „odbudowy“ książki na straty ilościowe w zasobach książek, powstałe wskutek wojny. Otóż oblicza się (St. Arct „Odbudowa książki w Polsce“), że zasoby książkowe w kraju wynosiły przed wojną połowę produkcji z 50-lecia między r. 1890 a r. 1939. Czyniłoby to ogółem około 450 milionów egzemplarzy, ulokowanych w postaci książki „domowej“ (tzw. rozproszonej), w bibliotekach i „wypożyczalniach“, w księgarniach i u wydawców. Ocenia się, że w wyniku wojny i celowego trzeźwienia książki przez okupanta, uległo zniszczeniu prawie 350 milionów książek, ocalało zaś około

EDMUND NIZIURSKI

„TRAKTORY” ZALEWSKIEGO — SYGNAŁ PRZEŁOMU

Zanim powrócą z terenowych wypraw literackich — uczestnicy akcji Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Związku Literatów Polskich, na rynku księgarskim notujemy poważne wydarzenie w dziedzinie literatury o przeobrażeniach współczesnej wsi polskiej. Mam na myśli zbiór reportaży opowiadań Witolda Zalewskiego „Traktory zęboda wiosnę”. Nie ulega również dyskusji fakt, że reportaże Zalewskiego nie można już dziś omawiać bez uwzględnienia osiągnięć z tego samego zakresu, jakie przyniósł ogłoszony przez tygodnik „Wies” konkurs na reportaże o wsi. Co więcej należy zauważyć, że pierwsza tego rodzaju publikacja zawierała 5 reportaży jednego autora, gdy tymczasem bardziej celowym, już choćby ze względu na politykę kadr pisarskich a przede wszystkim na konfrontację różnych osiągnięć z tej dziedziny, na ułatwienie porównań i ocen, byłoby jednocześnie wydanie zolowych reportaży kilku autorów konkursu.

W naszym, tak ubogim jeszcze w problematykę współczesnej wsi, świecie literackim, nie licząc świeżo wydanej, a już niemal „przedawnionej” powieści Antoniego Olchy, te pierwsze „wiosenne” jaskółki reportażyowe wiastują od dawna oczekiwany przełom, sygnalizują powstawanie nowej literatury dotrzymującej kroku wsi na jej drodze do socjalizmu.

Co upoważnia nas do postawienia tak pomysłowych horoskopów? Dwie charakterystyczne cechy odznaczające te utwory od dotychczasowej literatury: 1) świadome dążenie do realizmu socjalistycznego, polegające na klasowym widzeniu rzeczywistości w jej przemianach, skupienie uwagi na rodcącym się nowym i uchwycenie ostrej walki tego nowego ze starym, 2) partyjność tych utworów; stawiają sobie one jasno za zadanie służyć budownictwu socjalizmu i wychowywaniu socjalistycznego człowieka.

Wiemy, jak nieraz trudno nawet działaczowi partyjnemu rozeznaczyć się w terenie — przeniesić w teren wskazania Partii, zidentyfikować i upersonifikować tam niejako obraz sytuacji, który oświetla Partia. Wiem, że do wygrania batalii klasowej potrzebna jest dokładna znajomość topografii terenu i układu sił.

Deniosłą rolę wypełnia tutaj reportaż. Jeszcze donioślejszą rolę wypełnia on w odniesieniu do szerokiach mas szeregowej czytelnika, które wychować ma na świadomych uczestników marszu do socjalizmu. Reportaż winien uczyć nas właściwego, klasowego, partyjnego spojrzenia na konkretną rzeczywistość. Winien pomagać w odcyfrowaniu w konkretnym krajoznawczym społecznym tych wszystkich zjawisk i zagadnień, jakie przed nami stają i na jakie wskazuje Partia. Chodzi o zobiektywizowanie i skonkretyzowanie w żywej rzeczywistości takich pojęć jak walka klasowa, wróg klasowy, bogacz wiejski, kadry socjalistyczne, czystość szeregowej partyjnych,

100 milionów. Gdyby zatem była mowa o wyrównaniu ilościowym strat w przeprecji odpowiadającej obecnemu zaludnieniu Polski, trzeba by oszacować na ca. 240 milionów tomów (egzemplarzy). Mielibyśmy wtedy niezależnie od produkcji bieżącej zasoby, dające 14 egzemplarzy książek i broszur na 1 mieszkańca. Pod tą „przeciętną” jak zresztą w całej naszej powojennej produkcji wydawnictw książkowych kryje się bliżej jeszcze nieznanne, a tak ważne dla badania sprawy upowszechnienia czytelnictwa książki, zagadnienie książki „domowej” („prywatnych bibliotek”, podręczników itp.).

KSIAZKA MUSI SZUKAĆ CZYTELNIA
Przed wojną (w r. 1937/8) w związku z 6 i pół milionami książek typu „powszechnego” można się było doliczyć około 1 miliona czytelników korzystających z ówczesnych tzw. bibliotek oświatowych (samorządowych i społecznych). Stanowiło to niecałe 3 proc. ogółu ludności, a dokładnie 4 i pół proc. ludzi umiających czytać („ogólnej masy” czytelników).

W chwili obecnej posiadamy w bibliotekach powszechnych także około 6 i pół miliona książek (nie biorąc pod uwagę księgozbiorów organizacji społecznych). Jaka liczba czytelników biblioteki te skupiają obecnie? Na pytanie to nie podobna jest odpowiedzieć, gdyż brak do tego możliwe pełnych i jako tako dokładnych danych... Są większe i mniejsze obszary, a w nich biblioteki i „punkty biblioteczne”, gdzie ruch czytelnicy jest duży. Ale są również powiaty, a nawet województwa gdzie „masa” czytelników nie wynosi napewno więcej niż 3 proc. ogółu ludności.

Gdyby przyjąć, że „przeciętna” waha się około 4 proc., mielibyśmy około 1 miliona czytelników. Stanowiłoby to prawie 6 proc. ogółu ludzi umiających czytać (liczba ich wynosi obecnie blisko 16 milionów 700 tysięcy osób). Można z dużą dozą szorstkości wnioskować, że na jednego czytelnika u nas nie wypada obecnie więcej niż 24 wy-

oportunizm, czujność klasowa, rola korespondenta terenowego.

Pokazując aktualne zagadnienia wsi reportaż winien jednocześnie przedstawić sposoby ich rozwiązania, powinien pokazywać nowych rosnących ludzi, nowe kadry „pozytywnych bohaterów”, pogłębiających swoją świadomość klasową, przelamujących zwycięsko trudności w walce o socjalizm, tak jak to pokazał Worcell. „Taki reportaż — zauważa Kwiatkowski — powinien być instrukcją dla tych, którzy gdzie indziej w innych punktach, ale w punktach sytuacyjnie podobnych, prace takie będą przeprowadzać. I taki reportaż powinien zaznajomić inne środowiska ze środowiskiem wiejskim. Aby wszystko to dać w reportażu, nie można poprzestać na najwierniejszej nawet informacji. Trzeba sobie zdobyć prawo sądenia ludzi i rzeczy.”

Oto twórcze, wychowawcze znaczenie reportażu. Autor reportażu winien posiadać pełną świadomość jego służby społecznej. Zauważmy, w ilu miejscach funkcja literata reportera pokrywa się tu lub styka z funkcją korespondenta terenowego.

O POGŁĘBIENIE KONTAKTU Z TERENEM

Wszyscy uczestnicy konkursu, którzy wypowiadali się po ogłoszeniu wyników konkursu, podnosili jednomyślnie wagę stałego kontaktu autora reportażu z terenem, podnosili, że „reportaż literacki nie powstaje po jedno, dwu czy trzydniowym pobycie w danej miejscowości”. Wskazywano przy tym, że osiągnięcia Worcella, który zdobył pierwszą nagrodę konkursową, tłumaczą się w dużej mierze długim pobytem w środowisku, które pisywał, jego współuczestnictwem w walce, która jest tematem jego reportażu.

Na fakt ten zwrócili również uwagę członkowie jury konkursowego. Doceniają go również członkowie państwowe, czego wyrazem jest akcja trzymiesięcznego pobytu pisarzy w terenie.

O wadze tego długiego kontaktu z opisywanym środowiskiem należy pamiętać, ceniąc reportaż Zalewskiego. Sytuacja w jakiej znajdował się autor „Traktorów” zbierając materiał do swych opowiadań nie była zbyt wygodna. Rozumie to zresztą sam autor akcentując swoją niezręczną rolę „gościa z Warszawy”. Widać, że reportaż jego powstał w trudnych, perodniowych wypadkach, w teren. Zasiłki nazywali je wyprawami w Kongo.

Rzecz jasna taki półoficjalny gość z Warszawy skazany był niemal wyłącznie na informację organizatorów, kierowników, działaczy, na rolę attaché prasowego u boku sztabowców walki klasowej w nieznanym sobie, obcym środowisku. Po prostu nie miał czasu i możliwości rozejrzeć się na własną rękę i nawiązania głębszego, bezpośredniego kontaktu z „zwykłym chłopem.”

żyć książek w ciągu roku! mielibyśmy więc np. w r. 1950 ogółem około 24 miliony wypożyczeń. Po dzieleniu tej liczby przez liczbę tomów, otrzymujemy na 1 tom w roku zaledwie 3 i 1/10 wypożyczeń, co byłoby bardzo niską przeciętną. Wskazywałoby to, że albo roczna przeciętna wypożyczeń na czytelnika znacznie wyższa niż podana, co przeczy spostrzeżeniom i różnym informacjom, albo że znaczna część (może około 1/4) książek pozostaje bez ruchu. To ostatnie wydaje się prawdopodobne. A ponieważ waż i liczba 1 miliona czytelników może być raczej nieco wygórowana, niż za niska, przeto wnioskoby, że książka powszechna krąży rzeczywistości jeszcze zbyt słabo, że „nie szuka czytelnika”.

Nie trudno byłoby wskazać przyczyny takiego stanu rzeczy. Mamy niewystarczające kadry biblioteczne, sieć biblioteczna nie jest dostatecznie zagęszczone, propaganda czytelnictwa nie sięga dość głęboko. To byłyby powody główne, ale znalazłyby się zapewne i inne, chociaż oczywiście, mniej istotne.

Wynika stąd kilka pilnych zadań, które powinny być podjęte jak najszybciej jeśli w okresie szesściolletnim akcja biblioteczna ma doprowadzić do należytego upowszechnienia czytelnictwa książki powszechnej.

Brak miejsca w tym artykule nie pozwala mi na uzasadnienie twierdzenia, że przy 13 milionach książek, których spodziewają się bibliotekarze w końcu 1955 roku oraz przy usunięciu przeszkód hamujących życie „kraje książki” powinniśmy być w stanie objąć w okresie Planu 6-letniego akcją czytelnictwa bibliotecznego około 2 i pół miliona czytelników. Ograniczam się tedy do postawienia samej tezy, oddkładając jej obronę do następnej okazji.

Na zakończenie pragnę tylko jeszcze podkreślić, że sprawa rozeszczenia i pogłębienia propagandy czytelnictwa, jako stosunkowo najłatwiejsza do szybkiego realizowania powinna stanąć w całej szerokości na „porządku dziennym”.

STANISŁAW TAZBIR

Jeśli mimo to potrafił zdobyć kilka cennych reportaży, odsłonił ten i ów rąbek walki klasowej, należy to przypisać jego wysokiej świadomości klasowej jako pisarza, jego uczuleniu na problematykę wsi, wysokiej klasie jego talentu pisarskiego.

Zalewski pokazał tutaj swój pazur artysty. Nie mogąc ogarnąć całości zjawisk i problemów, w ich miejscowym konkretnym wyrazie, brał na warsztat i czynił osrodkim swego zainteresowania jakiś jeden narzucający się i możliwy do rozegrania literackiego symptom. Zagałmu z powodzeniem pełnił funkcję pars pro toto.

Z faktu złośliwego ukrycia przez wroga klasowego prądownicy z remizy strażackiej („Prądownica Kołodziejkiego”) potrafi wyluskać przejaw walki klasowej, próbę jeszcze jednego skompromitowania przez bogaczy wiejskich biedniackiego ekspresza spółdzielni — Kołodziejkiego.

W reportażu z Dankowic tak pars pro toto dla zobrazowania walki o spółdzielnię produkcyjną stanie się sprawą deklarowania koni, wobec braku sił pociągających do wykonania spóźnionej orki jesiennej.

Ta bystrość w wychwytywaniu przejawów walki klasowej, ta czujność wobec działalności wroga klasowego w terenie jest podstawową zaletą reportaży Zalewskiego. Pokazuje on wnikliwie taktykę wroga klasowego, który nie może zniszczyć spółdzielni produkcyjnej wprost, atakuje za pośrednictwem przekupywanych i tumanionych jej członków, wygrywając uczucia religijne ludu i wpływy reakcyjnej części kleru.

Docenił także Zalewski zagrożenie sojuszu robotniczo-chłopskiego i dał mu literacki wyraz. Pokazał kierowniczą rolę klasy robotniczej („Traktor na wzgórze”, „Lekcja Stanisława Marca”) pomagając chłopu przejść do wyższych form gospodarki i zerwać z wiekowym zacięciem, pokazał akcje łączności i pracę ekip robotniczych. Podkreśla Zalewski znaczenie Partii i jej doświadczonych kadrowców w organizowaniu nowego życia na wsi (Niedźwiedz, Adamaszek).

Na przykładzie budowy mostu w Jedlance z „Lekcji Stanisława Marca” pokazał Zalewski sojusz robotniczo-chłopski. Znamienna jest tu wypowiedź Chrapka, kierownika politycznego ekipy skierowanej do chłopów „my wam nie możemy, towarzysze, nie wyjmujemy sami, postawicie most”.

Przy sposobności zanotował Zalewski niezrozumienie istoty sojuszu robotniczo - chłopskiego przez część chłopów, bierność i, jeśli nie opór, to oczekiwanie aż ktoś (robotnicy) podwiezie ich do socjalizmu.

Zalewski unika bowiem jak ognia jakiegś huraoptyzmu, nie chce prawdziwie zajrzeć w oczy, nie waha się z całą jaskrawością podkreślić sił wroga klasowego i uciążliwości walki.

Rzecz jasna jednak, że nie potrafi on z powodu płytkości swego kontaktu z terenem tworzyć tak jak Worcell skłoczne sytuacyjne, dające obraz całości. Stąd niebezpieczeństwo zachwiania równowagi w wypadku niepożądanych elementów obrazu, którego jak pokazujemy dalej niestety nie uniknął.

SPRAWA PORTRETÓW KLASOWYCH

Żeby nauczyć rozpoznawać wrogów klasowych nie wystarczy pokazać tylko skutki ich działania i ich ofiary, gdyż w ten sposób pozostają oni wciąż jeszcze dla szeregowego czytelnika abstrakcją. Reportaż musi wytknąć ich palcem, zerwać te tysiące indywidualnych masek, za którymi się kryją, dostrzec i obnażyć ich właściwe oblicze klasowe. To oblicze będzie już wszędzie jedno i to samo. Bogacz wiejski musi być pokazany jako człowiek żywy, z krwi i kości, normalny, musi być pokazany w swych najrozmaitszych odmanach w jakich występuje w rzeczywistości, musi być indywidualnością a nie schematem, sloganową kukłą.

Redakcja „Wsi” miała już sposobność pokazać takie żywe portrety bogacza zarówno w materiałach konkursowych jak i w ostatnio drukowanych reportażach Jądzińskiego, czy Papiera.

Na braku dostatecznego żywego, wnikliwego i wszechstronnego obrazu bogacza wiejskiego ucierpił właśnie reportaż Zalewskiego. W „Traktorach” bogacz i jego popleczyńcy działają, ciążą wyraźnie nad życiem wsi, lecz najczęściej jak dotąd odległa, ciemna i zła siła. Autor ogranicza się do wspomnienia, że taki a taki bogacz istnieje i brudzi, nie wychodzi jednak poza kilka banalnych ogólników i szkicowych zarysów.

Drugim portretem, bez którego trudno sobie wyobrazić wartościowy reportaż spełniający postulat partyjności jest portret chłopca biedniaka lub średniaka, pozytywnego bohatera, przelamującego latami nawastrawione zacięcie, nabierającego świadomości klasowej, czynnie włączającego się do walki o socjalizm — przedstawiciela nowych rosnących kadr.

To jest centralne i najżywniejsze zagadnienie dzisiejszej wsi. O pokazanie takiego typu w literaturze toczyć się musi główna batalia. Od umiejętności stworzenia takiego portretu zależy wartość wychowawcza reportażu. Ten typ pokazał Henryk Worcell w osobie Oleszka, Papier w osobie Koselara, Bieniek — Karasia... Ten typ istnieje. Prezydent Bierut na IV Plenum stwierdził, że „narzekania na brak ludzi są niczym więcej jak oportunistyczny krótkowzroczność albo bezdusznym niedołęstwem tych, którzy nie chcą widzieć nowych rosnących ludzi.”



Fotografia z „Lekcji Stanisława Marca”

„I tu dał się we znaki Zalewskiemu brak dostatecznej znajomości terenu. Zalewski nowych wyrastających kadr prawie nie dostrzegł. Uderza nas, że jedynymi uważnie i szczegółowo potraktowanymi „pozytywnymi bohaterami” reportaży Zalewskiego są tylko „stary” aktywiści komunistyczni: Stanisław Marzec, Niedźwiedz, Adamaszek, Iskrowa. Pozytywnymi, choć już tylko pobieżnie naskikowanymi postaciami są robotnicy rolni z Księżego Dworu („Traktor na wzgórze”). Natomiast mało i średnio-rolni chłopci objawili się Zalewskiemu jako masa chwytliwych, nieświadomych klasowo lub biernych statystów przemian. Niektórzy idą jeszcze na pasku bogaczy, innych co prawda porywa ze sobą nurt nowego życia lecz tak jak potek klody drzewa. Każda mielnicza, każda przeszkoda zdolna jest ich mechanicznie zatrzymać. Takimi są Szyma i Taton. Kołodziejki z „Prądownicy” — to znów zastraszony, zaszczęty przez bogaczy, pobawiony wszelkiej aktywności i inicjatywy nieborak. Co prawda Sobik i Maga „przelamali się” ale też na tym że „dali się” przekonano kończy się ich rola, są bierni i potulni, nie stanowią w ujęciu autora żadnego pociągającego przykładu. Zresztą jak wyglądało to „przelamanie” się? Dość przykro i wcale nie zachęcająco. Sobika ciągnięto niemal za uszy, aż się biedak popłakał. Maga pomagał sobie wódką i baba urządziła mu piekło w domu. W ujęciu autora stał się on niestety tylko „ofiara spółdzielczości”. A to jest niedopuszczalne.

Zalewski nie dość pilnie więc rozglądał się za nowymi ludźmi. Nie wygrał artystycznie postaci Celiny, która jedyna z przedstawionych u Zalewskiego szeregowych członków wkłada do pracy w spółdzielni serce, i czuje się tu naprawdę dobrze jak w domu. W ten sposób przepuścił autor istotny i pasjonujący dla pisarza problem a mianowicie narastanie świadomości klasowej mało i średnio-rolnego chłopca. Mówiąc słowami Machejki „Zalewski nie schylił się nad walką w duszy chłopca...” pokazał tylko jej zewnętrzne objawy i to w sposób często naturalistyczny, przykry. I to się zemściło. Czytając Zalewskiego odnosimy z gruntu fałszywe wrażenie o jakiejś przepaści między starym aktywnym partyjnym a masami chłopskimi. Zauważmy. Na zebraniu członków spółdzielni agitują i przekonują tylko Niedźwiedz, Iskrowa i Migdał. Zaledwie słyhać jedną rozsądną uwagę szeregowego członka (rozsądna — to znaczy bynajmniej nie tłumaczącą się świadomością klasową lecz zwykłą gospodarczością). Na tym tle niezwykłe wyraźnie, krzykliwe i bojowo

wypadły głosy tumanionych przez bogaczy członków spółdzielni jak Taton i Szyma, głosy opozycji. Sobik dyplomatycznie milczy.

O WYCHOWAWCZĄ FUNKCJĘ REPORTAŻU

Porównując współczesną literaturę radziecką z utworami Zalewskiego niemiele uderzy nas dominujące w obrazie wsi u autora „Traktorów” owo „chamstwo wiejskie”, ponury zaledwie tu i tam przejaśniony obraz wsi. Co prawda zdajemy sobie sprawę, że tam, w powieści radzieckiej mamy już do

twienie sprawy rozwiązuje tylko dorywczy problem gospodarczy. Nie rozwiązany został za to przez autora problem podstawowy, problem przekształcania świadomości biedniaka i średniaka, przekraczania się ludzi do spółdzielni produkcyjnej. Autor utrzymał w perspektywie tę samą ciężką oporną walkę, która była tematem reportażu, to wyrwanie członkom spółdzielni każdego kconia, każdej porcji paszy do zadeklarowania. Spółdzielni nie przybyło nowych aktywistów, nowych kadr. Tymczasem podobno w rzeczywistości Dankowice przewyciężyły cpcry, rozwiązały problemy i są przykładową spółdzielnią wytwórczą w Krakowskim. Czemu tego autor nie pokazał? Czemu urwał reportaż? Jakież jest jego znaczenie w dziele budowania socjalizmu, jakie jest jego znaczenie wychowawcze? Znikome. Autor źle spełnił postulat partyjności. Charakterystyczne, że według relacji dwu dziennikarzy z Krakowa znających Dankowice, reportaż Zalewskiego nie przysłużył się sprawie spółdzielni, co więcej „swoją robotą pocięła ważną, zasadniczą dziś robotę przebudowy wsi, o której pisał”. Nie zdziwimy się. Jeszcze z okazji „Lekcji Stanisława Marca” zwróciłem uwagę na to, że Zalewski pisząc reportaż nie liczył się z tym, że pisze je nie tyle dla akwistów partyjnych ile dla mas, wśród których znajdują się i ci, którzy są modelami jego reportaży. Zwracałem uwagę, że wymowa faktów, którą podaje Zalewski jest nieprzekonywująca a czasem szkodliwa dla mas czytelnicych, zwłaszcza dla mało i średnio-rolnego chłopstwa, które chcemy przecieć do spółdzielni przekonac, a nie odstraszyć.

Dlaczego autor podkreśla brzydotę proletariatu? Czy to jest sposób przypiętowania „literackości” reportażu? Jeśli tak to niesławnych tradycji.

Czytelnicy powieści radzieckich przywiązują się do swych bohaterów, widzą w nich swój ideał, swój wzór do naśladowania. Kogo miał być czytelnik polski więź z dankowickiego reportażu Zalewskiego? Zabiedzzonego, nie tylko fizycznie ale i duchowo, Sobika?

Czytelnik nie widzi portretu bohaterów lecz ich karykatury. Dlaczego „nos Sobika, różowo siny jak przemarnięty kartofel, świecił zwiastując z koniuszka przezroczyście kropłą?” Kemu potrzebne takie ćmieszanie. Później nie omieszka autor zaznaczyć, że Sobik z zwiastującą kapkę stracił, a przy innej sposobności wysmiał jego „krogulczką twarz na chudej szyi”. Dlaczego „delegat powiatowy w „Prądownicy” koniecznic „duka”, dlaczego Niedźwiedz otwierając poważnie zebrane „mamrocze”, (dlaczego „siornic” gorące mleko

„To wszystko są może drobiazgi, ale w sumie one właśnie w dużym stopniu dają ten nieprzyjemny naturalistyczny odpychający masowego czytelnika, koloroty, że nieprzemijająca ciężka atmosfera. Zwiąszcza czytelnik wiejski uczulony jest na opis jego powierzchowności i jestem przekonany, że Sobik nigdy i słusnie Zalewskiemu tej kanki u nosa nie wybaczy.

Jakie koncowe wnioski nasuwają reportaż Zalewskiego? Oto przede wszystkim, że nadszedł już czas zniw pisarskich na terenie wsi. Ze istnieją i wyrabiają się kadry pisarzy o bystrym widzeniu klasowym. Reportaż te są nadto w swych słabszych stronach jeszcze jednym argumentem za koniecznością silniejszego, trwalszego powiązania pisarza z terenem. Wskazują one na konieczność właściwego rzumienia zasady partyjności, tepienia naturalistycznych naleciałości przez pogębianie tej zasady. Nie wolno przy tym zapominać o żywym człowieku, który stoi za reportażem, nie wolno traktować go jak niezucy model. Trzeba go uszanować. Pisarz powinien pomóc biedniakowi i średniakowi w klasowym rozejrzeniu się w sytuacji, winien zając się nowym rozumieniem chłopca z serdecznym zrozumieniem i z gotowością pomocy schylić się nad walką którą on toczy...

EDWARD NIZIURSKI

W NUMERZE 21 (252) tygodnika „Wies” z dnia 28 maja br.

Stefan Ignar — Chłopi w obronie pokoju. Aleksy Surkow — Przemówienie głośniejsze, uczciwi ludzie! Bronisław Chęciński — Genealogia. Park Leonarda. Jan Szczepański — „Argumenty” propagandy wojennej. Jerzy Piórkowski — Zagłębiowskie lonty rewolucji. Marian Niewiarowski — Rosną nowi ludzie. Seweryn Skulski — Pan Sklepiark. Marian N. Listowski — „Bogacz poczciwy”. Edward Martuszewski — Brygadziści Józef Wniuk. Tadeusz Papier — Partia przyjmuje Koselara. Piotr Chmura — Święto sojuszu. Józef Aniol — Pieśń o sojuszu. Władysław Machejek — Zjednoczenie. Stanisław Piętał — Chwila dziejowa. Ludwik Flaszyn — Na tropach wielkiej klęski. Bronisław Cirić — Historia pewnego powstania. Tadeusz Ostrowski — Świetlice w P.G.R.-ach. Miejsiczne kursy kulturalno - oświatowe Z.S.Ch. S. T. — Czytelnictwo gazet i czasopism. Cecylia Brach — Z Lubeni w świąt. Antoni Mitura — Wzmogła się walka klasowa na odcinku gospodarczym. Henryk Worcell — Brawo Wilanowa.

PAWEŁ TURKOWSKI

O ODNOWĘ WIEDZY O LITERATURZE

JAK wiadomo, jeszcze w bieżącym roku odbędzie się pierwszy Kongres Nauki Polskiej którego podstawowe zadanie polega na wytyczeniu dróg czynnego włączenia naszej nauki w wielki proces przebudowy kraju. Ten cel bezpośredniego związania naukowców i wychowawców młodego pokolenia budowniczych z obywateli Polski Socjalistycznej z zadaniami budownictwa nowego ustroju, opracowania form udziału polonistyki w realizacji zadań planu 6-letniego, skupił kilkuset badaczy literatury, naukowców i przodującą młodzież studiującą na pięciodniowym zjeździe nauko-wo-literackim, odbywającym się w Warszawie w dniach od 8 do 12 maja.

Zwołany przez Instytut Badań Literackich i Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza zjazd stał się wobec naprawdę trudnych i skomplikowanych problemów przede wszystkim potrzebami zarówno nauki o literaturze, jak i jej dydaktyki na wszystkich szczeblach nauczania. Przegad taki musiał być dokonany i został dokonany w warunkach zdecydowanej walki ideologicznej z wstecznymi i fałszywymi teoriami w literaturoznawstwie oraz z błędną praktyką badawczą nie przewyższającą jeszcze w tej dyscyplinie naukową.

Zjazd musiał przeprowadzić i prze prowadził rewizję dorobku naukowego przeszłości w oparciu o nowatorską wiedzę o literaturze, na gruncie walki o ukazanie w prawdziwym świetle naszej przeszłości literackiej i torowania dróg rozwoju nowej literaturze — realizmu socjalistycznego.

Każdy uczestnik wyniósł z przeświadczeniem, że zjazd ukazał zdecydowane bankructwo burżuazyjnego literaturoznawstwa i płodność marksistowskiej wiedzy o literaturze.

Ukazanie potrzeby gruntownej rewizji tradycji badań literackich i wyznaczenie perspektyw naukowego ujęcia zjawisk literackich stało się przesłanką do określenia aktualnych zadań poznawczych oraz dydaktycznych badaczy wykładowców wiedzy o literaturze polskiej. I tylko na tym gruncie mogło być postawione zadanie ścisłego powiązania polonistyki z zadaniami współdziałania w budownictwie socjalistycznym i ideowym wychowaniu młodego pokolenia.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że zjazd był wstępnym etapem prac jasnym się stanie, iż „łagodne” przebiegi jest kryterium oceny jego rezultatów. W tym celu pragnę chociażby bardzo pobieżnie naszkicować przebieg zjazdu ograniczając

się do najistotniejszych, jak sądzę, referatów i dyskusji, gdyż niepodobna w granicach krótkiego sprawozdania omówić a nawet wymienić 28 wygłoszonych referatów, z których dziesięću słuchaliśmy na plenarnych posiedzeniach, pozostałych zaś w sekcjach organizacji badań polonistycznych, dydaktyki języka polskiego w szkole, historii literatury oraz teorii literatury. Zresztą pełny obraz przebiegu zjazdu otrzymamy w mającej się ukazać księdze pamiątkowej, która zawierać będzie stenogramy wszystkich referatów i dyskusji.



rys. Jerzy Mierzejewski
Prof. Stefan Żółkiewski

Obrazy zjazdu otworzył referat wicep. Eugenii Krassowskiej o reformie uniwersyteckich studiów polonistycznych ukazującym sens ideologiczny reformy, która stwarza nader sprzyjające warunki umocnienia i podniesienia ich jakości oraz przystosowania do potrzeb kształcenia wysoko kwalifikowanych nauczycieli, ziałaczy kulturalnych i badaczy literatury.

W zakresie ogólnej problematyki naukowej centralnym punktem obrad były niewątpliwie referaty prof. Stefana Żółkiewskiego poświęcone aktualnemu etapowi walki o marksistowską wiedzę o literaturze oraz planowaniu badań polonistycznych.

Pierwszy z tych referatów wysuwający na czoło problematykę ideologiczną zjazdu wywołał najżywsze dyskusje. Jej przebieg, najpełniej uonaocnił obecny stan nauki o literaturze polskiej i panujące w niej rozbieżności światopoglądowo-poznawcze i ideologiczne. Więcej, z całą jaskrawością ukazał kapitulancą postawę przedstawicieli tradycyjn-

go literaturoznawstwa, którego żaden z obecnych badaczy nie usiłował bronić w sposób zasadniczy i merytoryczny. Symptomatyczne były wypowiedzi usiłujące dowiedzieć rzekomej ograniczonej badań marksistowskich i bronić, jak to nazywał Lenin, „paki eklektycznej” zaprawionej marksizmem. Mówię — symptomatyczne, gdyż ukazały cały bezmiar nieporozumień dotyczących marksistowskiej wiedzy o literaturze, którą usiłowano utożsamiać bądź to z bezideowym socjologizmem, bądź też z mechanistycznym ekonomizmem. Niewątpliwą słusność miał jeden z młodych badaczy — Henryk Markiewicz podkreślając denkwizację tego rodzaju walki z marksistowską metodologią badań literackich, wiedzę o której — jak się odnosiło czasem wrażenie — oponenci czerpali z „trzęsiej rełki”.

Zarówno referent, jak również liczni dyskutanci wskazywali na pilną potrzebę przyswojenia osiągnięć metodologicznych przodującej nauki radzieckiej, która najpełniej realizuje zasadę klasowej oceny tradycji literackiej, społecznej funkcji dzieła sztuki i jego wartości estetycznych.

Referat o planowaniu badań polonistycznych uzupełniony referatem prof. Juliana Krzyżanowskiego pt. „Podstawowe postulaty organizacji pracy w dziedzinie nauki o literaturze polskiej” ukazał najbardziej pilne potrzeby w tej dziedzinie jak np. konieczność opracowania zarysu planu pracy naukowej wszystkich czynnych środowisk badawczych oraz uaktywnienia wegetujących zreszto naukowców, przedewszystkim Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, które może rozwinąć najszerzą działalność w zakresie popularyzacji marksistowskiej wiedzy o literaturze i najnowszych osiągnięć badawczych wśród nauczycieli.

Do zadań pierwszorzędnej wagi należy także opracowanie planu pracy nad dokumentacją historyczno-literacką, który powinien być wykonany w oparciu o nowoczesne, z takim powodzeniem stosowane w Związku Radzieckim, metody kolektywnego współdziałania ośrodków naukowych.

Dalszym bardzo cennym osiągnięciem zjazdu była szczegółowa analiza stanu badań i potrzeb wiedzy o zasadniczych epokach naszej literatury: średnio-wiecznej i renesansowej (referat prof. J. Krzyżanowskiego), okresu reformacji (prof. Ł. Kurydybachy), kontrreformacji (prof. J. Dür-Durskiego, prof. K. Budzyka), wieku oświecenia (prof. T. Mikulskiego), literatury romantyzmu (prof.

K. Wyki), pozytywizmu (J. Baculewskiego), oraz literatury okresu imperializmu (prof. K. Wyki).

Mimo, że wyrządza się w ten sposób niewątpliwą krzywdę niektórym referentom i nie podobna nawet po-bieżnie ocenić wartości osiągniętych syntez, z drugiej strony natomiast nie można nie zatrzęsnąć się przy referatach i literaturze okresu kontrreformacji, epoki oświecenia, romantyzmu polskiego, pozytywizmu oraz okresu imperializmu, w których dokonana została najgruntowniejsza rewizja błędów metodologicznych i zafałszowań historycznych dotychczasowego dorobku naukowego. Rów-nocześnie referaty te zawierały pierw-sze próby ukazania zasadniczych prob-lematyki historyczno-literackiej tych epok w świetle marksistowskiej wiedzy o literaturze.

Rzeczą zmiarną jest, że dyskusje nad tymi referatami które dzięki konsekwentnym ujęciom metodologicznym spotkały się z uznaniem nawet badaczy nie marksistowskich mimo, że zabierali w nich głos wybitni przedstawiciele tradycyjnej nauki o literaturze polskiej (prof. prof. Borowy, Górski, Kleiner, Kucharski, Krzyżanowski), wykazały w pełni ubóstwo i nieprzydatność burżuazyjnych metod badawczych.



rys. Jerzy Mierzejewski
Prof. Julian Krzyżanowski

Więcej, przyznawał to nawet oponenci, uonaocznili, że tylko marksistowskie ujęcie zjawisk literackich może dać naukowo poprawny obraz naszej literatury i przewartościować spuściznę przeszłości na gruncie naj-słuszniejszych kryteriów społecznej postępowości „wiarę” artystycznej.

Jakkolwiek ze swadą broniono tak zwanego obiektywizmu tradycyjnego

dorobku polskiej nauki o literaturze wykazano zostało dobitnie, że po-stawiał on w ścisłym związku z ówczesną sytuacją społeczną, że gło-sił „prawdy” klasy, z którą badacze byli związani, że dzieła naukowe kulturywały wsteczne tradycje na-szej literatury.

Obraz tych dyskusji byłby grubo fałszywy, gdyby nie dodać, że wszy-scy dyskutanci — marksści, jak też zbliżeni do marksizmu — podkreśla-li z całym naciskiem, iż odnowa polskiej wiedzy o literaturze nie może uronić i nie uroni z dorobku przeszłości niczego, co jest cenne prawdziwe i słusze.

Nie były to czcze deklaracje i wskazywano konkretnie ile np. cenego dorobku szczegółowego prof. Kleinera z zakresu prac o romantyz-mie wchodzi do nowej wiedzy o literaturze, mimo że nie do przyjęcia jest jego postawa poznawcza i stosowane przezeń metody badaw-cze.

Bardzo wiele uwagi poświęcił zjazd problemom dydaktycznym, nad którymi dyskusję zainicjował referat dr Zdzisława Libery o zna-czeniu wychowawczym literatury: w-dobrze budowania podstaw socjaliz-mu.

Cztery dalsze referaty szczegółowe były wygłoszone i dyskutowane w sekcji dydaktyki języka polskiego w szkole.

Także w tej dziedzinie, tym razem ze strony bezpośrednich potrzeb wychowawczych szkoły ujawniła się w całej ostrości nagła konieczność przelomu w literaturoznawstwie, stworzenia nowego syntetycznego obrazu przeszłości literackiej, który ukaże jej szczytne tradycje postę-powe, świadectwa zmagania się postę-pu ze wstecznictwem, stworzenia wiedzy, która będzie wychowywała i kształtowała ludzi na miarę epoki, w której żyją. I sądzę, że właśnie w dyskusjach nad zagadnieniami dydaktycznymi raz po raz w sposób chyba najbardziej naoczny, czasem nawet bolesny, uwydatniła się wsteczność burżuazyjnej nauki o literaturze, gloryfikowanie mistycyzmu i religijnictwa, fałszowanie lub dyskredytowanie postępowych epok i twórców umniejszanie wartości postępowej sztuki narodowej zabiegami „wpływologicznymi” itp.

Celowo akcentuję ten fakt, gdyż sprawa nowych literackich opracowań syntetycznych i monograficznych nie była bynajmniej centralnym problemem prac zjazdu w zakresie dydaktyki, gdzie specjalny nacisk położono na metody realizacji nowego programu języka polskiego

i historii literatury polskiej w szkole.

Ostatnim wreszcie kompleksem zjawisk, jakimi zajmował się zjazd były zagadnienia teorii literatury. Tu najbardziej zasadniczy referat pt. „Stan badań i potrzeby teorii literatury” wygłosił dr M. R. Maye nowa, która poddała gruntownej krytyce merytorycznej dość rozpowszechną jeszcze tzw. poetykę opisową wskazując, że oscyluje ona między beznadziejnym opisem figur nie dających żadnej wiedzy o dziele literackim, a zamaskowaną, wsteczną gnosologią. Pozytywną próbę analizy dynamiki przekładu literackiego podjął w swym referacie prof. Jan Kott.

Ta pobieżna i bardzo niepełna re-lacja z przebiegu zjazdu dość wyraź-nie jednak uwydatnia jego nieo-cenione znaczenie jako podstawy dla konkretnego opracowania planu badań literackich oraz szierachizowa-nia zadań i organizacji produkcji naukowej.

Ne małe znaczenie jego tkwi tak-że w tym, że był areną, na której polonisci — marksści i coraz licz-niejsi, zbliżający się do marksizmu, legitymowali się poważnym dorob-kiem naukowym, zerwaniem ze sko-nstalną rutyną, że pokazali — po-wrótnymi — płodność marksistowsko-leninowskiej metody badań zjaw-sk literackich. Równocześnie udział młodzieży polonistycznej w dyskusjach zaświadczył, iż staje ona coraz pewniej na gruncie nowocze-snej i najbardziej postępowej, no-watorskiej wiedzy o literaturze.

Te fakty, jak też ożywczy ferment jaki wywołał zjazd wśród kadry postę-powych nauczycieli pozwala opty-mistycznie r-kować o przyszłym roz-woju postępowego, marksistowskie-go literaturoznawstwa.

Bilans zjazdu napewno nie byłby pełny, gdyby pominąć poważny kry-zys, jaki uwidocznili się w środowi-skach tradycyjnych badaczy-polo-nistów, w których dokonuje się widoczna aczkolwiek bardzo powolna rewizja stnowisk ideologicznych, postaw poznawczych i metod bada-nia.

To wszystko świadczy, że zjazd był istotnym krokiem naprzód do uonaocnienia polonistyki, zwią-zania jej z potrzebami życia, z za-daniami jakie przed nią stawia plan sześcioletni budowy podstaw socja-lizmu w naszym kraju.

Świadczy o tym, że zdoła ona wypracować i wykonać konkretny plan współdziałania w wielkich przemianach naszych czasów.

Paweł Turkowski

TADEUSZ GONERA

NOWE SIŁY SPOŁECZNE, NOWE KADRY

(o Kursach Przygotowawczych na wyższe uczelnie)

W Polsce wyzwolonej postawiony został mocno i zdecydowanie problem, który stanowił jedno z kluczowych zagadnień na odcinku rewolucji kulturalnej i naukowej — zmienić skład socjalny wyższych uczelni. Więcej synów robotniczych i chłopskich na wyższych uczelniach.

Samymi jednak ustawami, a tym bardziej hasłami od razu zmienić sytuacji nie było można. Aby bowiem studiować na wyższych uczelniach trzeba było posiadać ukończoną szkołę średnią, trzeba było wykazać się maturalnym świadectwem. Nie można przecież za jednym pociągnięciem pióra podnieść do poziomu wyższych uczelni tysiące i dziesiątek tysięcy młodych robotników i chłopów pragnących studiować. Trzeba było w-pierw przygotować ich do studiów wyższych, dać im podstawę naukową, umożliwiającą im wstęp na Uniwersytety, czy Politechniki. Sprawa nie była łatwa. A tymczasem skład socjalny w pierwszych miesiącach po otwarciu wyższych uczelni nie był wcale zadawalający. Sytuacja jaka panowała w naszych szkołach akademickich i atmosfera wśród studiujących, przypominała w niektórych wypadkach „korporanckie” przedwojenne czasy. Różnego autoramentu panielcykom i wychowanej na autonomicznych przywilejach „złotej młodzieży” ciągle wydawało się, że na wyższych uczelniach nie się nie zmieniło, że wszystko zostało po staremu. Korporanckie burdy i awantury, oraz antyludowe reakcyjne wystąpienia nie były rzadkim zjawiskiem.

Na ten właśnie okres przypada początek szerokiej akcji, która wniósł wielki przelom na odcinku wyższego szkolnictwa w Polsce.

Wiosną 1945 r. powstają przy wyższych uczelniach Kursy Przygotowawcze.

POBOŻNE OBawy I SOCJALISTYCZNY ROMANTYZM

Oczywiście wprowadzenie tego rodzaju „Novum” na wyższych uczelniach nie mogło pozostać bez od-dźwięku.

Przeważająca w tym czasie więk-szość burżuazyjno-drobnomiesz-czańskich elementów na wyższych uczelniach podniosła z miejsca wielki krzyk, że to nieobliczalny w swych skutkach i pozbawiony realnych pod-staw eksperyment, który może drogę kosztować, że obniżenie poziomu naukowego, że zanieczyszczenie wyż-szych uczelni itp., któż z nas zresztą

nie pamięta tych wszystkich bar-dziej i mniej halaśliwych wywodów, którymi szermowano wówczas na wszystkie strony. Część naukowych sił na wyższych uczelniach również odniosła się sceptycznie do tego „ry-zykanckiego” pomysłu. Wyszukiwane były różne, oparte niby na pedago-gicznych doświadczeniach obawy i zastrzeżenia, które podobnie sprawie Kursów Przygotowawczych na Wyż-sze Uczelnie nie traktowały poważnie, widząc w tym niezrozumiały dla nich romantyzm. Romantyzm był, ci panowie mieli co do tego rację ale inny, nowy, socjalistyczny romantyzm, który znalazł szerokie rze-sze entuzjastów wśród tysięcy mło-dzieży robotniczej i chłopskiej. Z tej strony oddźwięk był zupełnie inny.

Młodzi robotnicy i chłopci, ludzie z podstawowym przeważnie tylko wy-kształceniem, dla których otworzone zostały kursy wzięli jedno — Kursy Przygotowawcze, to dowód troski ludowego Rządu o robotniczą i chłopską młodzież, to dla niej droga awan-su społecznego, to pewny i niezawo-dny sposób odrodzenia szkolnictwa wyższego, zmiana składu socjalnego studiujących, to szkolenie od-danych sprawie, kadr nowej ludowej inteligencji.

Młodzieżowe, ideowo-wychowaw-cze organizacje na wyższych uczel-niach postawiły przed sobą bojowe zadanie. Pomożemy naszym młod-szym kolegom. Kursy Przygotowaw-cze muszą się udać. Wśród tego ro-dzaju atmosfery rozpoczęły prace pierwsze kursy Przygotowawcze w Ludowej Polsce wiosną 1945 r.

MŁODZI CHŁOPI W ROBOTNICZEJ I UNIWERSYTECKIEJ ŁODZI

Łódź do r. 1939 była jedynie kasar-nią robotniczą. Przeszło pół miliona-wo miasto nie posiadało ani jednej wyższej uczelni z prawdziwego zda-żenia, oprócz nędznie egzystującego oddziału Wolnej Wszechnicy. Dla ko-góż mieli zresztą panowie, obszarnicy i kapitaliści otwierać wyższe uczelnie — dla „robotniczych”, opano-wanych komunistyczną zarzązą?

W roku 1945 otwartych zostało kilka wyższych akademickich uczelni. Powstał Uniwersytet i Politechnika, otworli swe podwoje W. S. G. W. i S. G. H. powstawały inne wyższe uczelnie. Łódź obok potężnego cen-trum przemysłowego stawała się ośrodkiem nauki i kultury. W tej właśnie robotniczej i uniwersyteckiej już Łódźi otwarty został w maju 1945 r. pierwszy Kurs Przygotowaw-czy na Wyższe Uczelnie. Rekrutacja, jaka została przeprowadzona do

starczyła najbardziej cenny i pożą-da-ny element — młodzież robotniczą i chłopską. Byli to młodzi chłopci wy-kazujący się przeważnie ukończoną szkołą powszechną, a nierazko i niższym jeszcze wykształceniem. W znacznej swej liczbie byli to prze-ważnie „wiciarze” i ZWM-owcy, choć i niezorganizowanych również była grupa. Do Łodzi przybywali w przy-słowiowych „jednych portkach” od



święta i na codzień. Był to przeważnie wiejski element biedniacki. Zda-wali oni sobie doskonale sprawę z za-dań i obowiązków, które czekały ich na kursie. Państwo i organizacja młodzieżowe przyszły im z wydatną pomocą. Domy akademickie, stółki i stypendia dały im podstawę ma-terialną do kontynuowania nauki. Starsi Koledzy z „Wici”, A. Z. W. M. „Życie” i z Z. N. M. S-u pomagali w nauce. Wraz z nauką na kursie, po wstępnej selekcji, rozpoczęła się równocześnie wielka i niezwykle wa-żna batalia o prawo bytu Kursów Przygotowawczych i o drogę dla dalszych tysięcy młodych robotników i chłopów, dla których kursy przy-gotowawcze stać się miały bramą wiodącą na wyższe uczelnie.

Z PERSPEKTYWY CZTERECH LAT

Dzisiaj ci młodzi chłopci, którzy w 1945 r. rozpoczęli w Łodzi naukę na Kursie Przygotowawczym są już stu-

dentami trzecich lat Łódzkich Wyż-szych Uczelni. Nie tylko nie pozosta-ją w studiach w tyle, ale przodują.

Wielu z nich jak np. Kolega M. u-ras Tadeusz, ze wsi Sokołów w pow. łowickim otrzymało naukowe stypendia, wygłaszają referaty na Ogólnokrajowych Zjazdach kół nau-kowych, będąc równocześnie czynnymi członkami ZAMP-u i akademickich kół ZSL-u. Wbrew złowróbnym

trzeba było do „gimnazji”. Zmienił później swoje zdanie, gdy nie skąd indziej, ale właśnie ze Skaratek na kursach przygotowawczych powsta-wały „szpadle”, którymi można było śmiało w najtwardszy grunt uderzać.

Kolega Malicki Lucjan, dziś stu-dent III-go roku socjologii przyszedł na Kurs Przygotowawczy wprost z koneskich pastwisk. Tacy, jak: kol. Bogusz, czy Gulek, dziś studenci III-go roku Prawa i aktywni ZSL-u również wyrwani zostali przez „Wici” z najbardziej „zabitych desek” wsi wojew. łódzkiego. Wielu z tych Kole-gów to równocześnie byli B. CH-owcy i AL-owcy, którzy do nowej Polski szli poprzez ostrańską walkę z okupantem a następnie z rodzimą re-akcją w szeregach M. O., ORMO, czy KBW. Dla tych młodych synów chłopskich nie straszna była dlatego walka bezkrywa wprawdzie ale nie-mniej odpowiedzialna i ciężka, jaką stoczyli musieli na Kursie Przygotowawczym, walcząc o dostęp na Uni-wersytety i Politechniki, niegdyś prawie ze niedostępne dla chłopów. W walce tej nie zawiedli. Z przysto-wianym chłopskim uporem pod troskliwą opieką robotniczo-chłopskiej władzy z rokiem każdym w progi wyższych uczelni wkroczyli no-we szeregi studentów — chłopów.

CHOLPI — KURSISCI ROKU 1949/50.

Obecnie na Kursie Przygotowaw-czym w Łodzi studiuje ogółem 552 słuchaczy. Wszyscy chłopci kur-sanci należą do ZAMP-u. Do ZAMP-u należą zresztą pełne 100% studiują-cych, czyli 552 osoby.

Jeżeli chodzi o procentowe przed-stawienie składu socjalnego na Kur-sie Przygotowawczym to przedsta-wia się on następująco:

Stan na I i II roku Kursu:

Pochodzenia robotniczego 50% słuchaczy.

Pochodzenia chłopskiego 42,5% słuchaczy.

Pracownicy umysłowi 8% słucha-czy.

Rzemieślnicy samodzielni i kupey 0,5%.

Inne zawody 1%.

Widać tu, że młodzież robotnicza i chłopska stanowi decydującą więk-szość studiujących, że ona też w przeważającej masie wejdzie na I-sze lata studiów wyższych, doprowadza-jąc do jeszcze lepszego i korzystniej-szego układu socjalnego

Tadeusz Gonera

FLORA BIENKOWSKA

RUBIKON

(sztuka w 3 aktach)

A K T I
Odsłona II

Pokój w lokalu organizacji akademickiej. Widzimy radio, stół, krzesła, plakaty itd. Drzwi w głębi i na lewo. Przez jedne i drugie drzwi wchodzi studenci pojedynczo lub grupami — przechodzą rozmawiając. Anns i Zarnowiec rozmawiają, choć do pokoju.

ANNA — Nie zgadzam się z wami, tow. Zarnowiec. Wy wiecie dobrze, że kółka naukowe chętnie wykorzystują ci, którzy nie dawno walczyli z nami jawnie. To teraz przycupnęło wszystko...

ZARNOWIEC — Wierzę ci, że oni rzeczywiście poza referatami naukowymi i dyskusjami nie robią, żadnej politycznej działalności.

ANNA — Tak! A to zebranie w zeszłym tygodniu w kole socjologów? Byliście?...
ZARNOWIEC — Nie, nie byłem, ale słyszałem...

ANNA — Nie wiem co słyszałeś, ale wiedzę, że to jest polityczna robota, perfidna robota...

ZARNOWIEC — Słyszałem, że nie takiego nie było...

ANNA — Ech, jak długo jeszcze będziecie teki naiwny? Jeżeli mówi się, że marksizm, materializm historyczny nie jest w stanie ująć całej złożoności zjawisk społecznych, że marksizm został już „ulepszony” przez socjologów niemieckich, a potem amerykańskich, że trzeba większą uwagę przywiązywać do zjawisk „duchowych”, „irracjonalnych” i tym podobne reakcyjne brednie — to co to jest? Czy to nie jest jawna polityczna walka? I to takie rzeczy mówi się przy głośnym aplauzie. Jak byście to nazwali?

ZARNOWIEC — O tym mi nie mówiono.

ANNA — No to o czym wam mówiono? Ja przypadkiem byłem na tym zebraniu. Musicie wiedzieć poza tym, że robota jest organizowana, tak, or-ga-ni-zo-wa-na, a wy nie możecie się zdobyć na...

(wchodzi grupa studentów)

STUD. I — Moim zdaniem we wszystkich konkurencjach leżymy. Czym Baran im zaimponuje? Albo Kwaśniewski?

STUD. II — Kwaśniewski rzucił w zeszłym tygodniu 49, na obozie się jeszcze podciągnie.

STUD. III — Dwa miesiące obozu... bracie! dobre warunki, najlepsi trenerzy...

STUD. I — Spójrz! *(wyjmuje gazetę)* Wyniki studentów radzieckich! To są talenty — skok w dal... dysk., Węgier na pięciu tysiącach pokazał klasę, czytaliście? Wy zapomniacie, że to zawody międzynarodowe, a nie w Parzygłowach...

STUD. IV — Ma trochę racji, dopóki nie umasowimy sportu, nie będzie talentów.

STUD. II — A nasze kobiety to co?

STUD. I — Kobiety?... wielka rzecz, jedna Kowalówna jak dobrze pójdzie, na drugie miejsce, i to na krótkich dystansach.

STUD. V *(wchodzi)* — Sekcja sportowa jest tu? *(sposstrzega)* gdzie się u diabła szwendacie?! Czekamy pół godziny!

STUD. I — A my szukamy was pół godziny.

(wychodzą)

ZARNOWIEC — On mi się od dawna nie podoba, ale nie ma specjalnych dowodów...

ANNA — Takie typy jak ów Makowiecki muszą być unieszkodliwione. Trzeba na pierwszym zebraniu, na którym on zabierze głos, zdemaskować, przystąpić, musicie się dobrze przygotować, nie pozwólcie mu oddziaływać. A jak nie... usunąć!..

(wchodzi dwóch studentów i studentka)

STUD. A — U licha, znowu mam sobie zepsuć niedzielę?

STUDENTKA — Szkoda mi kajaków...

STUD. B — Musimy się jakoś wykreść.

(wychodzą)

STUD. X *(do Anny)* — Nie wiecie, koleżanko, kto zatłwia praktyki wakacyjne?

ANNA — Zda się w czwartym pokoju. Zapytajcie.

STUD. X — Dziękuję *(wychodzi)*.

(wchodzi Zofia i Zakrzewski)

ANNA *(do wchodzących)* — No, słuchajcie, termin już minął *(do Zarnowca)* — Do widzenia, towarzyszu. Jeszcze w tym tygodniu postawimy to na wydziale szkoleniowym i propagandy. Nie wolno nam zatrzymać się w pół drogi. Was powinni zaprosić.

ZARNOWIEC — No to powiedzcie im, bo znowu zapomną. Do widzenia *(wychodzi)*.

(Anna, Zakrzewski, Zofia)

ZAKRZEWSKI — Wyobraź sobie Anno, zdemaskowałem dziś Zofię. Od dawna przypuszczałem, że jest zakochana a dziś... dowiedziałem się w kim...

ZOFIA — Przeastań! Aniu nie wierz mu, to było zupełnie przypadkowe.

ZAKRZEWSKI — Ależ naturalnie, każda miłość jest przypadkiem, czasami nawet ciężkim przypadkiem!

ANNA — Zosiu! Czyżby?..

ZOFIA — Nie wierz mu nie a nie!

ZAKRZEWSKI — Naturalnie. Wystarczy jeżeli „on” wierzy! Otóż wyobraź sobie idę, nawet się śpieszę, wpadam na dwoje ludzi. Pod drzewem, rozumiesz, ławeczka... płazki... ZOFIA — Proszę cię!..

ZAKRZEWSKI — Zgadnij z kim.

ZOFIA — Ależ to naprawdę było przypadkowe... rozmawialiśmy o...

ZAKRZEWSKI — Jako dyskretnej mężczyzny, dżentelmena, niestety nie podsłuchiwałem. Ależ przecież z samej dekoracji można było wnioskować, co się działo na scenie...

ANNA — Ciekawam co?

ZAKRZEWSKI *(pokazuje)* — Podniosłem go. Kwiat z oberwanymi płatkami — prócz jednego, rozumiesz?

ZOFIA — Spotkałem go zupełnie przypadkowo i rozmawialiśmy o czymś zupełnie innym.

ZAKRZEWSKI — Tym gorzej.

ANNA — Nie dokuczaj Zofii i zachowuj się nadal tak, jak wtedy kiedy byłeś dżentelmenem. Nie przejmuj się, Zosiu.

(wchodzi Derkacz)

DERKACZ — Witajcie. Jeszcze nie wszyscy?

ANNA — Wy wszyscy jesteście punktualni!

DERKACZ — Kogo brak?

ANNA — Ma być Stadnicki *(do Zakrzewskiego)* Czy z Płoszewiczem mówiliście?

ZAKRZEWSKI — Mówiłem. Namyślał się, stękał, ale przyjdzie.

ANNA — No to mamy najważniejszą pozycję historyczną naszego kursu werbowane.

ZAKRZEWSKI — Zwerbowane... zobaczysz, jaki to werbunek. Paweł może da się namówić na piękne oczy. Jak się domyślasz, Anno, nie mówię o swoich oczach...

ANNA — Widzę, że interesujesz się moimi oczami. Ja za to coraz częściej patrzę na twoje uszy.

ZOFIA — Dobrze ci przygadała...

DERKACZ — Dosyć głupstw, towarzysze. Zabieramy się do roboty. Psiakość, już pół do szóstej!

ANNA — Musimy zacząć na Stadnickiego. Tymczasem słuchaj, Derkacz, trzeba koniecznie wziąć się za kółka naukowe, tam nasi zupełnie nie dają sobie rady...

DERKACZ — Przypuszczałem. Czy masz nowe przejawy?..

ANNA — Raczej stare. Trzeba podprzeć ludzi. Oni są zupełnie bezradni. Zarnowiec powiada, nasi są przeciętni „nagruzka” społeczna, a w dyskusjach, referatach panują tamci. Na zebraniach często w ogóle nie ma zorganizowanych.

ZAKRZEWSKI — Racja! Bo nasi wola pójść, polatać albo *(w stronę Zofii)* gdzieś na ustronnej ławeczce... A przysiąść fałdów się nie chce!

ZOFIA — A ty niby tych fałdów przysiadujesz?!

ANNA — Obiecałem Zarnowcowi, że w końcu tygodnia postawimy na wydziale, trzeba wzmocnić kurs.

DERKACZ — Dobra, omówimy. To jest właściwie to samo zagadnienie, które dziś mamy na warsztacie. Silniejszy kurs ideologiczny trzeba zacząć od ogólnej atmosfery, od profesorów. Ta reszta kryje się za ich plecami.

ZAKRZEWSKI — Huknąć mocno pięścią w stół i przycichnąć.

DERKACZ — Huknąć to huknąć, ale i pomyśleć trochę nie zawadzi. W walce ideologicznej pięść też czasami się przydaje, zapomniacie jednak, że ta pięść musi być uzbrojona w argumenty.

(Wchodzi Paweł, po chwili Płoszewicz)

Scena III

PAWEŁ — Przepraszam... dzień dobry... zatrzymano mnie jeszcze do seminarium...

DERKACZ — Siadajcie, towarzysze...

PŁOSZEWICZ — Dzień dobry... nie wiem czy ja tu jestem...

ANNA — Siadajcie, kolego, prosiliśmy was.

DERKACZ — Towarzysze i koledzy — zaprosiliśmy również dwóch kolegów bezpartyjnych, niezorganizowanych. Czytaliście referat tow. Kowalskiej. Czy wszyscy czytali?

(głosy: Czytalem, czytałem)

ZAKRZEWSKI — Ja tylko pobieżnie. Bo, przepraszam, podroczono mi w ostatniej chwili, kiedy akurat...

ANNA — Ja dostarczałam wszystkim. Sądzę, że referatów nie potrzeba. Proponuję od razu przystąpić do dyskusji.

ZAKRZEWSKI — Niech każdy powie, jakie ma zastrzeżenia.

DERKACZ — Zgoda, zaoszczędzimy czasu... no więc zabierajcie głos, koledzy.

(Chwila milczenia. Zofia szepce coś siedzącemu obok Zakrzewskiemu).

ZAKRZEWSKI — Uważam referat kol. Kowalskiej za słuszny. Właściwie nie ma tam nic nowego. Dotychczas omawialiśmy to po kątach, wykrzywialiśmy się na profesorów, na asystentów. Trzeba było wreszcie powiedzieć i Anna to zrobiła. Ja sam wiele razy to wszystko mówiłem...

(Chwila milczenia).

ZOFIA *(trochę nieśmiało)* — Ja właściwie chciałam zapytać... to znaczy zgadzam się z referatem... z tym co kol. Anna... tylko... czy koledzy nie uważają, że niektóre zwroty są za ostre... można by złagodzić...

ZAKRZEWSKI — Tak! Zaczynamy od złagodzenia! My właśnie, koleżanko Zofio, nie innego nie robimy, tylko łagodzimy...

ANNA — Może ja wyjaśnię?..

DERKACZ — Chwileczkę kol. Zakrzewski nie dostrzegł w ogóle zagadnień. Kol. Zofia w wstępie dostrzegła trudności. Chciałem, towarzysze... i koledzy, konkretnie podkreślić wagę zagadnienia. Od dawna już dostrzegamy, to znaczy dostrzegacie i wy, że atmosfera, kierunek studiów, przede wszystkim humanistycznych, jest niewłaściwy. Nasi profesorowie w większości prowadzą te same prace co i przed wojną, wykładają w tym samym duchu. To, z czym wychodzi kończący student nie ma, koledzy, żadnego związku z dzisiejszą Polską, z budową pod-

staw socjalizmu. A przecież takie nauki jak historia i nie tylko historia...

ANNA — Neutralnie bo i socjologia...

ZAKRZEWSKI — A tak zwana filozofia... co tam wygadują!

DERKACZ — Słusznie... i socjologia i filozofia, a i o wydziale przyrodniczym można wiele powiedzieć. Historia, koledzy, to szkoła ideologii! Wtedy kiedy my całe nasze życie budujemy na fundamentach marksizmu-leninizmu — z katedr wykładają się zbankrutowaną ideologię burżuazyjną, fałszuje się historię!

ZAKRZEWSKI — Ja zawsze to mówię, że się fałszuje!..

DERKACZ — Dziś towarzysze-koledzy konkretnie stoi przed nami dalszy etap walki. Ta burżuazyjna idealistyczna ideologia to parawan, to nawet narzędzie, za które chwytają, za którym kryje się wróg klasowy. I dlatego dziś to zagadnienie stoi przed nami w formie konkretnej. Musimy z tym stanem rzeczy rozpocząć walkę. Nasza dotychczasowa bierność jest szkodliwa. Postanowiliśmy wystąpić z publiczną krytyką historycznych poglądów jednego z historyków, prof. Maleckiego. To wystąpienie ma i powinno mieć charakter przełomowy. Winno być początkiem naszej ofensywy. Pod tym względem prosiliśmy, koledzy, konkretnie oceniali referat tow. Kowalskiej.

ANNA — Dodam, że uderzamy nie tylko w ogólne poglądy ale i w to, co dzieje się, to znaczy... czemu poświęcone są, jakim sprawom, wykłady, seminaria...

ZOFIA — Ja, jeśli pozwolą sobie... to tylko dlatego, że wydamy im się można by... bez szkody, niektóre zwroty... znaczy złagodzić...

ZAKRZEWSKI — Gdzie masz takie zwroty?!

DERKACZ — Proszę, zacytujcie konkretny przykład.

ZOFIA *(szuka)* — O takie zdanie: „Ludzie, którzy będą świadomie zamykali oczy, którzy zamiast iść naprzód będą ciągnęli wstecz, muszą odejść wraz z innymi rekwizytami przeszłości”, to zdanie...

ZAKRZEWSKI — A co, twoim zdaniem, wolno zatrzymać?

ANNA — Powiedz, jakie masz pretensje, co chcesz złagodzić?

ZOFIA — No... „zgnili”... „wrogów”... bo...

ZAKRZEWSKI — Nie zgadzam się! Derkacz — Spokojnie, koledzy. „Zgnili” ostatecznie moglibyśmy kol. Zofii podarować, ale wrogów

ANNA — To zasadnicza charakterystyka tej ideologii.

DERKACZ — Kol. Kowalska, zgadzacie się na skreślenie słowa „zgnilej”? ..Co na to koledzy *(patrzy w stronę Pawła i Płoszewicza)*. Mnie się wydaje poza tym że brak w tym zdaniu jeszcze jednego słowa, powinno być „młodzieży robotniczej, chłopskiej i inteligentnej” — jej też nie wolno zatrwać. Zwłaszcza młodzież inteligentna jest bardziej podatna...

ANNA — Zgadza się.

ZAKRZEWSKI — Słusznie, nie ma klasowej odporności. Ale proponuję uzupełnić: „inteligencji pracującej”.

DERKACZ — Możemy przyjąć twój poprawkę, choć pamiętaj, że jeśli nie jest pracująca, to nie jest inteligentna.

(Chwila ciszy. Spojrzenia kierują się na milczących: Pawła i Płoszewicza)

ANNA — Może kol. Stadnicki zabierze głos.

DERKACZ — Prosimy...

ZAKRZEWSKI — Kol. Stadnicki powinien mieć wiele do powiedzenia.

PAWEŁ — Cóż ja... nie potrzebuję czytać się z moim zdaniem. Słucham was i usiłuję sobie odpowiedzieć.

ANNA — Przede wszystkim, kolego, liczymy się z wami, uważamy was za zdolnego historyka, który nie może stać na zewnątrz.

ZAKRZEWSKI — Dlatego was zaprosiliśmy! I kol. Płoszewicza.

PAWEŁ — Ja mam te same wątpliwości, co kol. Zofia... tylko przytoczyłbym więcej.

ANNA — Przytoczcie, będziemy dyskutować.

PAWEŁ — Mnie idzie ogólnie... o ton Referat nazywa prof. Maleckiego wrogiem i... żąda jego odejścia...

ZAKRZEWSKI — Gdzie? Gdzieście to znaleźli!

PAWEŁ — A choćby przytoczone tu zdania: „musi odejść”... „wróg klasowy”...

ANNA — Ależ ja nie tylko o profesorze Maleckim...

ZAKRZEWSKI — No wiecie! taki wniosek!

ZOFIA — Ja to właśnie podkreślałam.

ZAKRZEWSKI — Ależ w referacie mówi się ogólnie, że „ludzie, którzy świadomie”... „muszą odejść”, a nie o prof. Maleckim.

ZOFIA — Ale to wszyscy tak rozumieją...

DERKACZ — Koledzy! To jest nieporozumienie! Tak rozumieć tego nie wolno. Konkretnie: nasi profesorowie nie są klasowymi wrogami. Tak stawia sprawę nie można. Kol. Kowalska w referacie podkreśla, że istnieją w naszej nauce idealistyczne, burżuazyjne przeżytki. Te przeżytki wykorzystuje wróg klasowy, usiłując tą drogą trafić do młodzieży...

PŁOSZEWICZ — A profesorowie, nasi naukowcy?

DERKACZ — A nasi naukowcy nie zdają sobie sprawy z politycznego sensu idei, które wyznają. Właśnie stoi przed nimi konieczność uswiadomienia sobie tego!

ANNA — Ale niech kolega Paweł powie o samej treści krytyki poglądów prof. Maleckiego.

PAWEŁ — Zgadzałem się z wielu myślami referatu... Uważam, że słusznie koleżanka podkreśliła kierunek, tematy zajęć seminaryjnych, prace...

ZAKRZEWSKI — Świetnie! Widzicie!

PAWEŁ — Obawiam się, że... atak jest za ostry... że godzi w swobodę nauki... podważa autorytet. To będzie ciężki cios dla...

ANNA — To i moim rozumieniu. Nie mówimy tego, żeby dokuczyć prof. Maleckiemu, bynajmniej. Nam idzie o oddziaływanie i na młodzież i na profesora.

DERKACZ — W każdym razie, kol. Stadnicki, zabierzcie głos w dyskusji!

PAWEŁ — Chciałbym, żebyście koledzy zrozumieli... moja sytuacja jest trudna... Przy tym nie ze wszystkim mogłbym się zgodzić. Wydaje mi się, trzeba zostawić naukowcom swobodę... prawo wyboru zagadnień, zainteresowań...

ANNA — Ale swoboda wyboru nie może być swobodą pomijania tego, co najważniejsze!

DERKACZ — Proszę, kol. Stadnicki, wysuwajcie swoje wątpliwości, spróbujemy wyjaśnić.

(chwila ciszy)

PŁOSZEWICZ — Ja poproszę o głos.

DERKACZ — Proszę, kol. Płoszewicz.

PŁOSZEWICZ — Ja właściwie mam tylko pytanie. Dlaczego koledzy... w tej, jak nazywacie, ofensywie, wybraлиście za cel ataku prof. Maleckiego? O ile mi wiadomo, prof. Malecki był zawsze liberalnych poglądów, a nawet przed wojną uważano go za lewicowego!

ZAKRZEWSKI — Też pytanie! Właśnie o Maleckiego najbardziej idzie!..

ANNA — Kol. Płoszewicz nie chce zrozumieć sytuacji na wydziale...

DERKACZ — Spokój, koledzy. Kol. Płoszewicz oczekuje konkretnej odpowiedzi *(mówi z naciskiem)*. Wybraliśmy właśnie prof. Maleckiego, ponieważ jest naszym najwybitniejszym historykiem, ponieważ cieszy się autorytetem, oddziaływanie na młodzież.

PŁOSZEWICZ *(wtrąca)* — Tak przepuszczałem.

DERKACZ *(ciągnie)* — Ponieważ uważamy prof. Maleckiego za cenę naukowca, który, gdyby odrzucił błędne założenie i metody, mógłby w naszej nauce odegrać wybitną rolę.

Arkadiusz KULESZOW
(ZSRR, Białoruś)

przeł. Włodzimierz SŁOBODNIK

S Ł O W O DO NARODÓW ZJEDNOCZONYCH

Zwracam wam dziś uwagę
Na amatorów oracji,
Co uwielbiają błagę
I system prowokacji.

Od ludów przyjaźni stroniąc,
Łakną krwawej paszy
I atomową bronią
Chcą cały świat nastraszyć.

Pragnę gniewnym swym słowem
Odrodzić dom od intruzów —
Mieszkać w dzielnicy nowej,
Dźwigniętej z popiołów i gruzów.

Więc bombie atomowej
Powiadam — „Veto” — panowie —
Syn mi urodził się zdrowy,
Niech świat się o tym dowie!

Niech słowo moje nad światem
Zahuczy alarmu dzwonem!
Powiadam tak delegatom
Szanownym, tu zgromadzonym!

Chępliwy chór atomiarzy
Potęgę bomby swej chwali
Która nas śmiercią obdarzy
I miasta nasze spali.

Zniszcz prace człowiecze
W swoich ogniach i dymach...
Zbledną wobec niej piec
Majdanka i Oświęcimia!

Nie chcą zakazać te krety
Używania bomby sławnej,
Lecz atomowe sekrety
Nie są dla mnie sekretem!

Do strachu mnie bomba nie zmusi,
Powiem morderczym tym zuchom,
Że niebu mej Białorusi
Naprawdę groźba wybuchem.

Nasz błękit spokojny i wdzięczny
Nie boi się tych odważniaków —
Bombowców widział on więcej
Od lecących pod jesień ptaków.

Wrzaski niemieckich chwatów
Dziś rdzewieją w radzieckich rowach —
Informuję ja delegatów
Czcigodnych i wielce szanownych!

O bombie powiem śmiało:
Nie czas chępić się, proszę panów!
To jeszcze nazbyt mało
Rozbić atom uranu.

Z rewolucją naszą skrzydlatą
Większe cuda żeśmy czynili:
Starego świata atom
W siedemnastym myśmy rozbili.

Nie z jądra słynne neutrony
Myśmy wówczas wyzwolił —
W tym roku ludzi miliony
Myśmy z kajdan uwolnili.

Świat niewoli każdy z nas grzebał,
Niszczyl stare, wyszys obalał.
I dziś jeszcze drapacze nieba
Kolysze wybuchów fala.

I dotychczas już równowagi
Dawno zagstę nie mogą znaleźć,
Gdzie Ameryki wicher nagi
Za chmurami świszcze zuchwale.

Drzy już Broadway i drżą magnaci,
Lecą w proch solidne więzienia,
Czy słyszyście, delegacj
Szanownego zgromadzenia?!

Idźcie naprzód bojowa wspólnota
Wolnych radzieckich ludów
I od bomb i samolotów
Broni plony swojego trudu.

Czy da się bombę porównać
Z naszym ludem z potęgą słynnym?
Siła waszej bomby nie równa
Wielkiej mocy RADZIECKIEJ KRAINY!

I ta prawda, a nie debaty
Najwięcej ma dziś znaczenia,
Tom właśnie chciał rzec delegatom
Szanownego zgromadzenia!

PŁOSZEWICZ — Dziękuję. Pozwolicie, koledzy, jeszcze tylko jedno pytanie. Gdzie będzie wygłoszony ten referat? Moim zdaniem odpowiednim miejscem byłby lokal partyjny, bo to jest przecież polityka, a... uniwersytet zostawmy nauce.

(silne wzburzenie widów u wszystkich, niektórzy zrywają się, chcą coś mówić)

DERKACZ *(ucisza gestem, opamiętuje się)* — Bardzo istotne pytanie. Właśnie na uniwersytecie, kolego. Zaprośmy również prof. Maleckiego, ponieważ to nie jest

JERZY PIÓRKOWSKI

LONTY REWOLUCJI (II)

III

„Wybraliśmy Radę Delegatów Robotniczych, aby być nie jak piasek, którym lada podmuch wiatru pomiata, ale spójni jak granit jedną myślą, jednym czynem”, z tymi słowami na ustach narodziła się Zagłębiowska Rada Delegatów. Podczas gdy w Warszawie rewolucyjna lewica lekceważąco odnosiła się do zagadnienia rozbrajania Niemców i tworzenia własnej, proletariackiej siły zbrojnej, gdy więc karabiny z rak niemieckiej burżuazji przeszły do polskich rąk w Dąbrowie, na wezwanie SDKP i L i PPS-Lewicy już w dniu 2 listopada 1918 roku robotnicy rozbrajają około 300 Austriaków i natychmiast rozpoczynają werbunek do zbrojnej siły proletariatu Zagłębiowskiego: Czerwonej Gwardii.

10 listopada w Sosnowcu na wielkiej manifestacji robotnicy witała „z największą radością rewolucyjny proletariats Rosji — i jego rząd rad robotniczych — rząd komisarzy ludowych”. Następnego dnia, o świcie, z kolei niemieckie Mauzery dostają się do górniczych rąk proletariatu Sosnowca. Czerwona Gwardia zajmuje teren robotniczego przedmieścia Sosnowca — Sielc. Patrole beselerczyków są na Sielcach bezwzględnie rozbrajane. Czerwona Gwardia rychło otrzymuje jednolite umundurowanie. Urasta w okresie swego najświetniejszego rozwoju do liczby kilku tysięcy uzbrojonych ludzi i posiada swoje oddziały w Sosnowcu, Czeladzi, Milewiczach, Grodzicu. W dniu 8 listopada w Dąbrowie zamary fabryki i kopalnie. Ulicami miasta przechodził pochód spowity w czerwone sztandary. To robotnicy odprowadzali swoich delegatów na pierwsze zebranie Rady. „Głos Robotniczy” pisał o tym: „Piękny, potężny, wrzaskający obraz: proletariats szedł jak niezwalczony mocarz, choć nie miał broni przy sobie”. Pochód zastął drzwi sali posiedzeń — Resursy Obywatelskiej — szczerze zareglowane. Gdy próbowano się dobrać, ukryci wewnątrz beselerczyki odpowiedzieli strzałami. Tutaj, w bratobójczym dymie prochowym osunęło się robotnicze ciało na bruk. Był to Eugeniusz Furman — pierwsza ofiara kul polskiej burżuazji. Ale kule nie streroryzowały robotników. Zaalarmowano patrole Czerwonej Gwardii, które przystąpiły do akcji. Pod ich osłoną ognową przeniesiono zebranie na kopalnię „Paryż”. Tutaj to wśród huków robotniczych strzałów rozdziała się rewolucja polska.

Uchwalona na „Paryżu” deklaracja m. in. głosiła: „W dzisiejszym momencie występowania do walki rewolucyjnej — mas proletariackich. Dąbrowska Rada Delegatów Robotniczych, jako zaczątek władzy proletariackiej w Polsce, przesyła swe rewolucyjne, proletariackie pozdrowienia Rządowi Komisarzy Ludowych w Rosji jako przewodnikowi Międzynarodowej Rewolucji Socjalistycznej...”

„Dąbrowska Rada Delegatów Robotniczych postanawia zwrócić się do robotników całego kraju z manifestem wyzywającym do tworzenia Rad Delegatów w mieście i na wsi i do przygotowania się do ujęcia całej władzy w swe ręce. Dąbrowska Rada Delegatów Robotniczych postanawia, aby robotnicy natychmiast się uzbrajali w szeregi Czerwonej Gwardii. Rychło poszczególne rady łączą się tworząc jednolitą Radę Delegatów dla całego Zagłębia. Rozporządzając zbrojnym ramieniem — Czerwoną Gwardią, Rada Delegatów przeprowadza stanowczo szereg posunięć, mających na celu poprawę bytu i warunków pracy robotnika (np. osmiodziesięciodziesięciodziesiąt godzin pracy, stu procentowa podwyżka plac, usprawnienia aprowizacyjne) nakładają podatek na właścicieli kopalni i fabryk, zmuszając ich do pokrywania kosztów utrzymania Czerwonej Gwardii.

Co jest źródłem siły Zagłębiowskiej Rady? Otóż przede wszystkim jej skład osobowy. W Radzie zdecydowaną większość posiadają komunisty. Dalej, za Radą stoi zjednoczony w działaniu, bojowy proletariats Zagłębia, który wielokrotnie samorzutnie, nadaje swojej walce rewolucyjnej formy. Zwycięski, czerwony sztandar Zagłębiowskiej Rady nie daje zasnąć Warszawie. Znowu niecierpiwają się Hughesy. Piłsudski zdaje sobie dobrze sprawę z tego, co znaczy przykład Zagłębia dla mas ludowych całej Polski.

Przekablowuje śpiesznie do gen. Rojla, do Krakowa: „Polecam waszej uwadze zagrożone rozkładem maksymalistycznym miejscowości Zagłębia Dąbrowskiego”. I dalej, z wyraźnym niepokojem: „Należy mieć rezerwy w sile przynajmniej dwóch kompanii oraz oddziałów karabinów maszynowych...”

Roja w swoich wspomnieniach tak komentuje ten rozkaz: „Bądź co bądź, kierunek polityczny czy społeczny, a zwłaszcza ludzie reprezentujący go, zasługują na uwagę. Widocznie jacyś ciekawie realni ludzie”.

A ci „realni ludzie” poczynają sobie coraz lepiej. Rada Delegatów tworzy już organizacyjnie szereg wy-

działów o funkcjach wykonawczych, które dobitnie ukazują jej aktywną rolę i szeroka płaszczyznę działania.

Są to wydziały: aprowizacyjny, ekonomiczny, zdrowia publicznego, administracyjno-publiczny, wydział uzbrojenia robotniczego obejmujący Czerwoną Gwardię, jak również robotę szkoleniową nowych kadr, oraz ściśle zakonspirowany wydział walki z kontrrewolucją.

Ale już burżuazja polska, ten wieloletni pies spuszczonej za smyczy przez kolejną zwycięską imperializm, próbuje kąsać. W pewien grudniowy, mroźny świt ulice robotniczego Sosnowca i jego mieszkańców budzi tętent koł, yt końskich, miarowej żołdacki Erok i śpiew, głuchy loskot toczących się ciężko dział. Do miasta wkraczają dwa pułki piechoty, pułk kawalerii, dwie baterie artylerii polowej.

Zwarty kordon wojska otoczył robotnicze dzielnice Sosnowca. „Sztandar socjalizmu” pisał: „o Kilka kroków od siebie stoją z karabinami czerwonogwardzista i przedstawiciel białego wojska”. Burżuazja próbuje zdławić Komunę Zagłębiowską. Ale nie jest to łatwa sprawa, choć wobec miążdżącej przewagi sił wszelka próba oporu zbrojnego jest zgóry skazana na klęskę. Trzeba sobie przy tym jasno uświadomić cię, iż w swoich rewolucyjnych poczynaniach Zagłębie jest osamotnione. Nie udziela jej żadnej konkretnej pomocy partia, a warszawska, obezwładniona przez PPS Rada Delegatów wysłała tylko jeden protest za drugim. I burżuazja szaleje. Nad Zagłębiem wschodzi widmo białego terronu.

Całe przedmieścia robotnicze padają jego ofiarą. Terroryzowano ulicę po ulicy, dom po domu, dokonując rewizji, katując robotników, a niejednokrotnie rabując i gwałcąc. Jednocześnie do oddziałów Czerwonej Gwardii wysłano ultimatum, żądając natychmiastowego złożenia broni. Wobec beznadziejności stawiania oporu, Czerwona Gwardia schodzi do podziemi, broń wędruje do zakonspirowanych składów.

Odzywają wspomnienia carskich gwałtów i mordów. 18 grudnia do kopalni „Czeladź” wpada patrol białych. Dowódcą patrolu oficer, kłnąc w straszliwy sposób, z wściekłością wrzeszczy, bijąc bezbronnych robotników korbą nagana: — „Znajesz eto, pomnij tysiącny dzień niewolności piątyj god. Ubiju kak sobaku!”

Proletariats Zagłębia rok 1905 dobrze pamiętał. Pamiętał smukła, zda się spalająca w sobie od rewolucyjnego żaru sylwetkę Feliksa Dzierżyńskiego, który z kopalni „Renard” szedł śmiało z górnikami naprzeciw kozackim kopytom i szablom do hut „Katarzyny”. Pamiętał tamta, ofiary wyłana robotniczą krew i stawała w tych dniach znak równości między carską a polską burżuazją, podobnie jak w swojej pierwszej deklaracji w Dąbrowie stawał znak równości między swoją walką a walką młodzieńczego, zwycięskiego proletariatu Rosji.

Długiego też nie ulakło się carskiego stupajki, przebranego w legionowy mundur.

Nie ulakło się i wówczas, gdy od gróźb kontrrewolucji przeszła do czynów, gdy w Będzinie aresztowano 16 działaczy Rad. Gdy trzymano ich przez całą meczeską noc pod śledztwem i nieludzką katowano. Gdy wrzeszcze ostatnich z nich, towarzysza Dziekana, dosięgła z tyłu kłedy wychodził z katowni, kula w płeć. Padł krótko i Dylong, jeden z dowódców Czerwonej Gwardii, górnik z kopalni „Renard” jedna z najpiękniejszych postaci rewolucyjnych owego okresu.

Działo się to już w tych dniach, gdy ulice Sosnowca pęczniały od wojskowych patroli białych. Gdy robotników na ulicy, w biały dzień, pod ładą pozorem, masakrowano korbami.

Wówczas to Dylonga i jego towarzyszy zaczęli czatujący na nich patrol wojskowy. Jeden z żołnierzy zażądał, aby Dylong odpisał czerwono kordakę komunarda, jaką miał przypiętą przy piersi. Dylong odmówił. Posypały się na niego ciosy korb. Śmiały się pod razami korb, spłynął krwią, ale milczał.

Jeden z żołdaków, rozwścieczony, przystąpił mu do piersi karabin. Dylong zakrzyknął: „Niech żyje Czerwona Gwardia!”

Żołnierz pociągnął za spust. Karabin nie wypalił. Rozgorączkowany tym, bodząc łufą Dylonga, pociągnął poraż drugi. Ten runął na bruk. Wokół kokardy czerwonogwardzisty wykwitła czerwona gwiazda krwi.

Tak odpowiadał proletariats na terror burżuazji.

Tak nieuleknie umierał z wiarą w przyszłą zwycięską rozprawę z burżuazją z wiarą i miłością dla swojej siły zbrojnej, dla Czerwonej Gwardii.

Na próby terronu odpowiadało całe Zagłębie. Strajk następował za strajkiem, a pochody z poszczególnych miast przedzierały się przez kordony wojsk, przez krwawe mordowanych, przez rany i śmierć idących obok towarzyszy, i łączyły się, tylnik rozpraszane i masakrowane, na nowo w wielki, potężny, wieloletni potok, na widok którego bie-

dli policjanci i wojskowi satrapi Zagłębia.

Dąbrowa, „Huta Bankowa”, Będzin — oto nowe pola bitew bezbronnego, a przecież jakże wspaniale walczącego proletariatu Zagłębia.

I nowi żołnierze rewolucji padli w tej walce. Oto nazwiska niektórych: Macierak Józef, sekretarz komitetu na kopalni „Paryż”, Ziątek Antoni, spawacz na „Paryżu”, Krupa Stanisław, rębacz z „Mortimeru”... i wielu, wielu innych...

Czego żądali wówczas te olbrzymie, wieloletnie pochody proletariatus Zagłębia, za co przelewały bez skargi, bez łału krew i dawaly życia?

Pisał o tym w dniu 13 marca 1919 roku „Komunisty”:

„...W sprawie wojny robotnicy całego kraju żądają: Bezwzględnego przerwania wszelkich działań wojennych, w szczególności przeciw rewolucyjnej Rosji, Litwie i Białorusi...”

Zniesienia zbrodniczej, tajnej dyplomacji i wszczęcia jasnych i publicznych rokowań pokojowych, w których w imieniu proletariatu Polski weźmie udział przedstawicielstwo Rad Delegatów Robotniczych”.

Takim głosem przemawiała polska klasa robotnicza w obronie radzieckiej rewolucji. Głosem międzynarodowej solidarności klasy robotniczej, głosem nabrzmiałym wiarą, miłością i proletariackim przywiązaniem dla Związku Radzieckiego, głosem który doprowadzał do wściekłości imperialistycznych podżegaczy wojennych.

I to był ów wielki, drogi historii polskiego ruchu rewolucyjnego, głos Rad Delegatów 1918 — 1919 roku.

Głos ten mimo terronu, mimo policyjnych palek, kulmiotów i więzień będzie rozbrzmiewał coraz silniej. Ów głos pokoju będzie spędzał sen z powiek piłsudzkowskiej agenturze imperialistycznej, będzie stawał zaporą, bez której zgniecia i burżuazja polska i międzynarodowa to zrozumie, niemożliwym staje się napad na Związek Radziecki. W „Biuletynie” Rady Delegatów Robotniczych” z dnia 11 maja proletariats Zagłębia rzuca w twarz imperializmowi światłowemu i jej agenturze polskiej to wielkie proletariackie wyzwanie. Jest to wyzwanie przyszłego grabarza imperializmu, który posiada świadomość swojej roli w historii.

„Armia Piłsudskiego... przez ciosy zadawane robotniczo-chłopskiej Republice Litwy i Białorusi, bije w robotniczą Rosję, toruje drogę podjęciu kontrrewolucji międzynarodowej przeciw temu głównemu dziś ognisku i ostoi rewolucji proletariackiej na całym świecie. Przeciw tej krwawej zbrodni, przeciw temu szatańskiemu dziełu kontrrewolucji Rada Delegatów Robotniczych Zagłębia Dąbrowskiego zakłada najuroczystszy protest i żąda bezwzględnego przerwania wojny z robotniczo-chłopską Litwą, Białorusią i Rosją...”

„Żołnierze polscy, nie bądźcie katami chłopów i robotników litewskich i białoruskich!”

„Bratujecie się z nimi! Nie niszcicie zdobyczy ich rewolucji, nie zapędzacie ich z powrotem pod bat szlachty i burżuazji!”

Taki to był głos tej cytadeli proletariackiej wolności: głos przeciw wojnie, głos w obronie Kraju Rad, głos wyzywający do czynnej, śmiałej i bezkompromisowej walki o pokój.

Głos ten przetrwał czasy terronu, czasy faszyzmu. Ustokrotnił się w głosie jednego, bojowego poety polityki klasy robotniczej, który tutaj na hucie „Bankowej”, na kopalni „Reder” widział potężniejące miny proletariackiej rewolucji i tutaj kazał jej zapalać.

W latach międzywojennych, w okresie terronu sanacji, w okresie ponownej agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu, tutaj to proletariats Zagłębia na pytanie rzucone przez poetę: Gotowe? Odpowiadał głosami milionów: Gotowe! i walczył znowu pod sztandarami K.P.P. w obronie Kraju Rad, w obronie pokoju.

Dzisiaj ta walka u nas, w kraju zwycięskiej rewolucji, inaczej wygląda. Nad Zagłębiem co noc wstaje luna potężnej, socjalistycznej roboty. Wyzwanie, jakie rzucił w obronie Kraju Rad przeszło trzydzieści lat temu proletariatus Czerwonego Zagłębia, rzucają dzisiaj w twarz własnej burżuazji i światłowemu imperializmowi dokerzy Francji, górnicy Belgii, chłopcy Włoch, metalowcy Nadrenii. Trzydzieści lat temu ów głos proletariatu Zagłębia nie mógł, mimo ofiar i trudu, powstrzymać wojennej lawiny najeźdźczej przemocy. Dzisiaj ten głos rozbrzmiewa na całej kuli ziemskiej, z tysięcy czerwonych miast, z milionów wsi i osad chłopskich, spowitych tymi samymi sztandarami.

Dzisiejsza znowu krwawa i ciężka, ale zwycięska walka, to triumf partii nowego typu, które tę walkę prowadzi, partii wyrosłych z myśli, doświadczeń, walk i trudów bolszewików, z twórczego tych myśli, doświadczeń, walk i trudów symbolu: Genusza Józefa Stalina.

Na następny rok zakontraktował już pół hektara. A i przez zimę czytał o burakach, jak je uprawiać, jak przerywać. Słuchał, co mu mówili instruktorzy, że gleba tutaj jest zakwaszona i trzeba przywieźć parę funt wapna z cukrowni. Raz

Jerzy Piórkowski

Dzieci wiejskie o pokoju

„Ja chcę pokoju, żeby już więcej nie było wojny. Bo ja wiem co znaczy wojna. Mojego tatusia wywieźli do Niemiec i tam musiał ciężko pracować. Ja chcę pokoju, pokoju, pokoju. Niech żyje nasza ojczyzna Polska!” — pisze 11-letnia córka robotnika kolejowego, właściciela 1 ha gospodarstwa, uczennica klasy czwartej w odpowiedzi na ankietę „Mój stosunek do sprawy pokoju” w szkole podstawowej w Zygrach pow. sieradzki.

„Ja chcę żeby był pokój na świecie i żeby nigdy nie było wojny na świecie, bo ja się wojny boję. Zabrałi mojego tatusia na wojnę, jeszcze dotychczas nie wrócił. Napewno go zamordowali!” — wyznaje rówieśniczka poprzedniej, córka małorolnej wdowy.

Dzieci pochodzące z rodzin, których ojcowie, czy starze rodzeństwo swój pozytywny stosunek do Polski Ludowej zadokumentowali przynależnością partyjną sprawę pokoju ujmują głębiej.

„Żeby nie ZSRR, to już do tego czasu mało kto by został” — oświadcza z przekonaniem 12 letni piętoklasista, syn milicjanta, członka PZPR. Na zakończenie zaś dodaje: „Przec z amerykańskimi podżegaczami wojennymi. Niech żyje Polska Ludowa”.

A oto wypowiedź innego piętoklasisty, syna małorolnego chłopca, członka Partii:

„Ja pragnę pokoju i nie chcę wojny. Bo ja choć w czasie okupacji nie byłem z rodzicami wywieziony, ale źle nam się powodziło, bo gospodarstwo nam zabrali. Myślę, że jak będzie pokój to będzie coraz lepiej, będzie Socjalizm i Kultura. I będę miał wolność do nauki. Niech żyje Pokój i Socjalizm.”

Rówieśniczka obu poprzednich pisze:

„Ja już przeżyłam strasne wojenne chwile i dość znalazłam głodu wólcąc się z rodzicami po świecie. Pod koniec wojny zginął mi tatus zamordowany w obozie koncentracyjnym. Wyniszczyli wszelkich, jakie tylko są podżegacze wojny, podpalacze naszego pokoju.”

My, jako dzieci chcemy pokoju wolnego czasu do nauki i kultury. Przec z wojną, niech żyje pokój”.

Wydzieżona z rodziny do Francji w czasie wojny 14 letnia uczennica klasy szóstej, córka średniarolnego chłopca (7 ha) po odmalowaniu ciężkich osobistych przeżyć z czasu wojny oświadcza:

„Teraz już mamy chleba pod dostatkiem. I wszystko zmierza do lepszego. Nie pragnę więc wojny, lecz pragnę pokoju”.

Uczniowie klasy siódmej, którym nauka o Polsce i świecie współczesnym umożliwiła zrozumienie istoty konfliktów międzynarodowych zdają sobie sprawę z podziału świata na dwa obozy, nie obca im jest pokojowa rola ZSRR. Czasem jednak wpływ wychowawczy domu nieprzynależnego obozowi postępu znacząco się doś wyraża. Oto jak pisze uczennica, której rodzice ulegają szepcanej propagandzie wroga klasowego:

„Ja nie chcę ani pokoju, ani wojny. Bez pozwolenstwa rodziców nie mogłam się podpisać”.

Udaje, że nie rozumie, że tertium non datur, kto nie chce pokoju, wybiera wojnę.

Inaczej natomiast stawiają sprawę dzieci z domów, gdzie dociera gazeta i książka. Oto jedno z nich pisze z ufnością:

„Imperialiści, którzy zdają się na wojny i straszą bombą atomową, to nie. Olbrzymi Związek Radziecki i kraje demokracji ludowych stoją na straży pokoju i niepodległości.”

A jego koleżanka pisze: „Chcę się uczyć, dlatego pragnę pokoju. Teraz mam dostęp do szkół średnich nie tak jak młodzież wiejska przed wojną. Teraz w Polsce Ludowej ma dostęp do szkół każde dziecko, nawet i najbiedniejszego gospodarza, czy robotnika. Potrzebny nam jest pokój, bo potrzebujemy bardzo dużo ludzi wykształconych, by jaknajprędzej dojść do socjalizmu, by każdemu człowiekowi w kraju było dobrze.”

Zanotował Jan MARSZAŁEK



W góralskiej szkole

JERZY KORYCKI

PLANTATOR FILIP SEMPEK

Nazywa się Filip Sempek. Miejszka w Zakrzewie Starym, o parę kilometrów od Otmuchowa.

Duży, widny, murowany dom. Ładna stodoła, obora, chlew, śpielnia — wszystko kryte gontem lub dachówką.

Dwie krowy, 4 zakontraktowane świni i parę prosiąt, ładnie utrzymany koń, z tyłu stóg z sianem i siłosi na kiszonce — świadczy o tym, że Sempek jest dobrym gospodarzem. Zresztą, i w domu widać dobrobyt.

Syn chłopca małorolnego spod Myslenic, siedział na 4 ha razem z ojcem, bratem i siostrą z jej mężem. Bieda była aż piszczało.

Nic więc dziwnego, że gdy tylko Armia Czerwona i Wojska Polskie wyzwoliły Dolny Śląsk i rozpoczęła się akcja osadnicza na tych ziemiach, Filip Sempek rzucił ciąsną, przeładowaną chatę swego ojca i dotarł aż tutaj pod Otmuchów.

Dostał ładne gospodarstwo. Około 8 ha ziemi z dobrymi i dużymi zabudowaniami.

Już na jasienu 1945 r. miejscowa cukrownia, która jakoś, prawie cudem ocalała ze zniszczeń wojennych, rozpoczęła propagandę wśród nowych osadników za kontrakcją buraka cukrowego. Obiecywano dostarczyć nasion, nawozów sztucznych, nawet obiecywano, że plantatorom łatwiej będzie otrzymać konia. Przysłano jakieś broszury, zjawili się też i instruktor. I w Zakrzewie było parę zebrań gromadzkich w tej sprawie. Chłopi, z których jeden tak, jak Sempek, przyjechali z Podgórza, inni gdzieś za Buga, słuchali nieufnie. Wiadomo, u nich na gospodarce z działa prądziada siało się „wszystkiego po trochu. Ot, żyta — aby starczyło dla siebie i na sprzedaż, ziemniaków, czasem gdy kto miał lepszy łan, to zaryzykował i pszenicę, czasem jakieś poletko lnu, żeby tylko przeżyć i ze dwa prosiaki w ciągu roku wyhodować. A jeszcze trzeba było myśleć, żeby to wszystko umieć sprzedać i nie dać się oszukać handlarzowi na jarmarku. A tu nagle przychodzi fabryka, obiecuje dać nasioną, nawóz, zapłacić zadatek, a później bez kłopotu odebrać cały zbiór. Nic dziwnego, że chłopcy stuchali tego wszystkiego bardzo nieufnie.

Tylko paru odważniejszych podpisało kontrakt. Wśród nich był i Filip Sempek. Zakontraktował niedużo, coś ze ćwierć hektara. A zresztą, kupiwszy konia, obsiał wedle zwyczajów, wszystkiego po trochu. Przeszedł pierwszy rok. Z burakami niebardzo się udało. Zebrał około 30 metrów. Instruktor, który go odwiedzał, wytłumaczył, że są za gęste. Sempek niebardzo mu wierzył.

Na następny rok zakontraktował już pół hektara. A i przez zimę czytał o burakach, jak je uprawiać, jak przerywać. Słuchał, co mu mówili instruktorzy, że gleba tutaj jest zakwaszona i trzeba przywieźć parę funt wapna z cukrowni. Raz

dostał szkołę, że nie usłuchał, drugi raz pomyślał, że trzeba robić, jak mówią ci, co się znają.

Na gospodarce nie było jeszcze lekko. Wprawdzie lepiej już niż w przeszłej zimy, bo i krowa stała w oborze i dwa świniaki rosły, ale nie przelewał się u Sempeka.

Na wiosnę z pasją wziął się do swoich buraków.

A i wesi już coraz więcej buraków sadzono. Nie jeden chłop przekonał się, zakontraktowawszy małe poletko, że ta nowa uprawa opłaca się znacznie lepiej, niż ziemniaki, niż pszenica. Chodzić przy niej trzeba dużo, ale nie chodzi się na darmo.

Drugi plon był już lepszy. Wypadło coś ze 130 q, co dawało bardzo ładny wynik 260 q z hektara. A i po raz pierwszy Filip Sempek wziął do ręki po obliczeniu się z cukrownią grubszy grosz.

Ale czuł, że coś jest jeszcze złego. Burak zamiast iść w korzeń, wyglądał jak okrągła bulwa z długą brodą.

Znowu radził się instruktora, przyglądał się innym uprawom, a nawet wybrał się aż za Nysę, żeby zobaczyć jak to gdzie indziej sobie z tymi burakami chłopci radzą.

Tej jesieni, gdy znowu nadszedł czas kontraktów, Filip Sempek opowiadał na zebraniu, ile zebrał i jak na tym dobrze wyszedł. Jego wynik, mimo pewnych niedociągłości, był jednak rekordem dla wsi. Chłop gorąco namawiał sąsiadów do podpisania kontraktów i to nie na małe poletka ćwierćhektarowe.

— Przecież Niemcy z tego żyli i samście widzieli, jak żyli. Tak, jak nigdy chłop w Polsce nie żył.

Toteż obszar uprawy buraka zwiększył się znacznie. Plantatorów podzielono na grupy, na czele każdej grupy stanął przodownik, który miał bezpośredni kontakt z instruktorem ze Związku Plantatorów, a jednocześnie w terenie udzielał swojej grupie pomocy i porady. Takim przodownikiem dla swojej wsi został Filip Sempek. Sempek zakontraktował 1,2 hektara.

Reszta gospodarzy chłop niewiele się zajmował. Obrobił, posiał i żyta i pszenicy i ziemniaków, ale wszystko inne musiało stać głową żywą.

W 1948 r., gdy przyszło do zbiorów, ciężka całoroczna praca Filipa dała obfity plon. Zebrał 360 q z ha, zajmując pierwsze miejsce w nowoorganizowanym współzawodnictwie plantatorów. Poza dochoodem z ziemi, dostał i dyplom i nagrodę 40.000 zł. Jeździł odbierać ją aż do Poznania.

Tam ten prosty chłop, który skończył 5 klas szkoły powszechnej, poszedł do profesorów uniwersytetu i rozmawiał z nimi, jak równy z równymi o tym, jak należy uprawiać buraki cukrowe, żeby dały jak największy plon. Oni mieli dużą wiedzę fachową, on był praktykiem i fanatykiem plantacji. Znalezli wspólny język.

Właśnie Centralny Zarząd Przemysłu Cukrowniczego rozpoczął

niesłychanie ciekawe doświadczenia, żeby metodą miczurinowską zmusić burak cukrowy, aby rósł prędzej, miał dużą zawartość cukru, dużą wagę i dawał znacznie większe plony niż dotychczas.

Jako miejsce doświadczeń wybrano właśnie Otmuchowskie. Doświadczenia prowadzono, tworząc u najlepszych plantatorów specjalne poletka doświadczalne, na których plantatorzy pracują przy uprawie buraka cukrowego, otrzymując na każdą czynność specjalne instrukcje i prowadząc książkę wykonywanych czynności.

Doświadczenia może by się nie udało przeprowadzić, gdyby nie Filip Sempek. Nie tylko, że zakontraktował on aż 2 ha, czyli jedną czwartą całej swojej gospodarci, pod buraki, ale również stał się największym i najlepszym agitatorem przeprowadzenia doświadczeń naukowych. Tak długo namawiał chłopów, żeby deklarowali się na poletka doświadczalne, aż wrzeszcze w okolicy powstało przeszło 200 takich poletków.

Wyniki osiągnięte w tym roku (1949) są rewelacyjne i świadczą, że wybrano właściwą drogę. Buraki na poletkach doświadczalnych udały się wręcz imponująco. I tutaj Sempek nie dał sobie wydrzeć przodownictwa. Jego poletko dało w przeliczeniu na hektar ponad 600 q. Już w sierpniu buraki na poletku ważyły ok. 1,5 kg, a ich nac dochoodziła do 3 kg wagi. Po zbiorach nierządki trafiły się nawet 3 kg okazy, a przeciętna była powyżej 2 kg. A przecież wiemy, że na zwykłej plantacji, gdy burak dochodzi do kilograma, to już jest bardzo dobrze.

Dwa hektary pod burakiem dały więcej, niż cała 8 ha gospodarka u sąsiada, nie mówiąc już o dodatkowych pożytkach karmy.

Nic dziwnego, że siedząc w chałupie Filipa Sempka, widzę i czuję zamożność tego, przecież zaledwie średniarolnego chłopca. Mówi cały czas o burakach. To już jest jego pasja! Projektuje, jak na przyszły rok będzie siał, jakie sposoby nawożenia zastosuje. Odgrąza się, że plony będą jeszcze większe. Opowiada, że gdyby tak cała wieś się złączyła i założyła wspólnie wielką plantację, to dopiero wówczas plony by były jak się patrzy. Uniknęłyby się błędów, które każdy gospodarz, chcąc nie chcąc, na swym polu popełnia.

Chłop-specjalista nie boi się spótdzielności. Nie mówi o niej wrogo, nawet wówczas, gdy ma 8 ha ziemi. Ma dobrobyt, ale nie jest bogaczem wiejskim. Nie żyje z cudzej pracy i nie żyje z cudzego wyzysku.

Na wsi dokonują się wielkie przemiany. Idą one nawet samorzutnie. Naturalnie, proces ten musi być odpowiednio kierowany, gdyż nie każdy znajdzie tak prostą drogę do socjalizmu, jaką podświadomie znalazł na swojej gospodarce plantator Filip Sempek.

JERZY KORYCKI

PODPISZ APEL POKOJU

HANNA KIRCHNER

„POGADANKA Z PRZEZROCZAMI” KRYTYKA IDEALIZMU¹⁾

Powieść Zuławskiego „Skrzydło Dedala” obejmuje pokazany smutak czasu i historii. Autor upchnął w tym niewielkim worku przedwrześniowy proces faszyzacji Polski, układ monarchijski, zajęcie Czech, napad Musoliniego na Abisynię, walki w Hiszpanii, kampanie wrześniową, konspirację, pierwsze lata po wyzwoleniu, przemiany w odrodzonej Polsce. Mało pakowna, a przy tym z dość lichym materiałem zrobiona torba zaczyna już pękać w szwach, ale autor przed zawiązaniem do rzuca jeszcze kilkanaście osób.

Wywołamy je statmą na chwilę. Oto modele autora dla Polski lat 30-tych: w młodości legionista, następnie sanacyjny dygnitarz Gabryśiewicz, który zawiera cichażem, z ramienia sfer rządzących, sojusz z przywódcą młodych faszystów Odrowążem; początkujący pisarz Tomasz Podleski; dziewczyna, którą kocha, młoda rzeźbiarka, Joanna; przyjaciel Tomasz Hirsberg, architekt-esteta; jego siostra Amelia, studentka-Zydówka, zmuszona do przerwania studiów z powodu pogromów organizowanych przez faszystów studentów; stary działacz partyjny, uczestnik walk w Hiszpanii, Ignacy Ziemia. Są to najważniejsi przedstawiciele kilku nurtów „Skrzydła Dedala”.

Kiedy w filmie zachodzi konieczność przeskoków z jednego okresu czasu do innego, realizator radzi sobie w ten sposób: Na ekranie ukazuje się napis: „Minęło kilka lat. W pierwszych dniach października lotnictwo włoskie zbombardowało Addis-Abebe. Czarne kolumny przekroczyły granicę Abisynii.”

Napis znika. Wraca obraz. Samolot. Zbliżenie — twarz lotnika. Obraz następnym: wieśka abisynska. Zdjęcie z góry — scena rodzajowa. W perspektywie uliczki ukazują się dziewczyna. Nagły wybuch bomby zasłania wszystko chmurą dymu i dymu. Za chwilę dym opada. Z głębi ulicy nadbiega chłopak. Załamuje ręce nad trupem dziewczyny. Zbliżenie — zniekształcone ciało. Kamera cofa się, zostawiając wśród pogodnego krajobrazu malejącą plamę śmierci.

Niech czytelnik wybaczy mi ten nieoczekiwany wypadek z literatury w dziedzinie filmu. Nie jest to zbieżność przypadkowa. Tak wygląda technika kompozycyjna powieści Zuławskiego. Napis na ekranie zastępuje na komentarzem politycznym, streszczając w skrócie najważniejsze wypadki i „atmosfera czasu”, a następnie rzuca obraz koturaj z postaci upozowanej zazwyczaj w ładnym geście.

„Skrzydło Dedala” przypomina okres pierwocin filmu niemiego,

gdzie sylwetki ludzie poruszają się drgającym, nienaturalnym krokiem marionetek, nie dając ani na chwilę złudzenia rzeczywistości. Książka Zuławskiego jest tak daleka od realistycznego widzenia życia, jak owe pierwsze filmy niemie od dzisiejszego stopnia rozwoju kinematografii. Zdawałoby się przecież, że owa szybko biegnąca obrazowość filmu winna dodawać akcji dramatyzmu, dynamiki.

A jednak technika filmowa zemściła się na autorze. Rozbicie utworu na komentarz polityczny i migawkowe spojrzenia aparatu projekcyjnego na bohaterów sprwadziło schematyzm i szczególną statyczną powieści.

„Skrzydło Dedala” bowiem to nie film, a raczej przezroczka. Tok narracji jest spokojny, relacjonujący. Autor wygłasza pogadankę, ilustrując ją zastygłymi w odpowiedniej pozycji sylwetkami. Autor ciągle panuje nad postaciami swej powieści, podpowiada im słowa i wypowiedzi. Rzadko kiedy widzimy je mówiące własnym językiem, pociągnięte przez nurt życia. Ani na chwilę nie przestają być schematami, niemal abstrakcyjnymi, w swojej papierowości i martwością. Wszystkie one i Tomasz i Hirsberg i Ziemia i Magda mówią tym samym językiem — inteligentnym, refleksyjnym językiem autora. Zuławski dba o „ładność”, o „elegancję” swej powieści. Każdy ruch ludzki jest tu starannie wystylizowany. Postacie są autorowi posłuszne, gdyż nie krepuje się on wymogami realizmu, prawdy ideowej i artystycznej. Niedostateczna wiedza o życiu, o wpływie praw historycznych na rozwój jednostki pozwala Zuławskiemu na stosowanie takich efektów, pustych artystycznie i co gorsza fałszywych. Załamują one prawidłowy rysunek rzeczywistości, przejawiają się złym umieszczeniem punktu ciężkości w charakterystyce danej postaci.

Takim wymownym przykładem, stanowiącym jeden z przykrych zgrzytów w powieści jest np. scena ostatniej rozmowy Ziemy z Bukalą. Trąca mistryzmem koncepcja „dziwnych przeczuć” śmierci u Ziemy, które się o dwie strony dalej sprawdzają wykrywa całkowicie jego obraz. Trzeba by tu jeszcze wymienić rozmowę Tomasa z Amelią w przeddzień wybuchu wojny (przelatująca Nika) czy zakończenie rozdziału o śmierci Amelii. Podobnie ustalony i nie prawdziwy jest obraz narady robotników w fabryce.

Rodowód społeczny, klasowy postaci Zuławskiego istnieje tylko z nazwy, z określenia, jakie pod

nazwiskiem umieszcza im autor. Nie określa ich wymowa faktów, warunków społecznych, w jakich egzystują.

Główny bohater powieści Zuławskiego, młody pisarz Tomasz Podleski, w zamierzeniu autora ma spełniać funkcje pozytywnego bohatera. Właściwy bowiem bohater pozytywny, komunista Ignacy Ziemia, ginie z rąk polskiego faszysty Odrowąża, nie doczekawszy wyzwolenia. Pozostaje on zresztą stałe w półcieniu, na jednym z dalszych planów. Tylko Tomasz przeprowadza autor — zresztą systemem napisu na ekranie — przez obóz, okupację, powstanie, aż do lat po wyzwoleniu.

Cała przemiana wewnętrzna Tomasa, jego przejście z pozycji buntującego się liberała do świadomego współpracownika w budowie socjalizmu odbywa się jakoś bardzo umownie i właściwie bierze się nie wiadomo skąd. Wiemy z powieści, iż wpływ Ignacego Ziemy był bardzo nikły, chociażby ze względu na krótkie jego kontakty z Tomaszem. Z kampanii wrześniowej, oprócz poczucia „podświadomej” sympatii dla swych towarzyszy-robotników nie wysnuwa Tomasz żadnych wniosków.

Wiemy, iż śledził on z uwagą rozwój wypadków tożmyż wzbuchem wojny, iż rozmowy z rodzinnymi sanatoriami i faszystami napędzają go odrazą do ustroju. Męczy go własna bezsilność.

Dziwną rolę spełnia tu Joanna. Można by sądzić, iż zdradzając Tomasa dla Gabryśiewicza, ma stanowić tylko ostatnią kropkę w kielichu gorczy młodego pisarza. Tymczasem fakt, że autor każe jej podzielać los Gabryśiewicza, pozwala się domyślać intencji przedstawienia jej jako produktu ustroju. Nie jest to jednak nigdzie umotywowane i nie usprawiedliwione społecznie i politycznie świadomością Joanny, jak to ma miejsce w wypadku Gabryśiewicza i Odrowąża.

Tomasz to jeszcze jeden w naszej literaturze „inteligent” z niedoczekanym balastem wahań, rozterek itp. obciążen „psychologicznych”. „Skrzydło Dedala” do rzuca jeszcze jedną pozycyjkę do „obrachunków inteligentek”.

Jest to jakbydy miniatura powieści Brandysa „Troja, miasto otwarte”. Zestawienie tych dwóch książek wykazałoby liczne analogie, ale i niekorzystne dla Zuławskiego różnice. Zuławski oświłta swym projektorem różne odcinki rzeczywistości i wydobywa z cienia różnych ludzi, którzy nikną w nim z kolei, aby parę kartek

dalej wynurzyć się ponownie. Losy ich biegają równolegle, lub często krzyżują się z sobą, ale przy tym nierazko zdarza się, iż podejrzewamy tu wyłącznie kaprys autora, a nie logikę faktów historycznych.

Nie wykazuje on na przykładach swych bohaterów prawidłowości procesów historycznych, która by udawadniała z żelazną konsekwencją konstrukcję losów ludzkich, aczkolwiek tę prawidłowość w swej wypowiedzi zakłada.

Estetyzujący architekt Hirsberg wiele ma w sobie z Juliana Szarleja (bohater powieści „Troja, miasto otwarte” Kazimierza Brandysa), ale jakże inna jest postawa obu autorów w stosunku do swych bohaterów!

Inżynier Hirsberg ma oczy otwarte — nie ma żadnych złudzeń w stosunku do imperializmu i postępczych państw — jego przedstawiciel. Politykę ich ocenia surowo i trafnie. Relacja z jego pobytu w Anglii i epizod z Kate dowodzą tego wyraźnie. Ale Hirsberg pozostaje tylko na pozycjach biernego obserwatora. Od zajęcia jakiejś postawy wykręca się eskapistycznym sceptycyzmem i schronieniem się pod skrzydła sztuki. Wojnę, która przyniosła straszną śmierć jego siostrze, spędza Hirsberg w Anglii. Do kraju nie chce wracać. Śmierć Amelii chce przemilczeć, zapomnieć.

Mówi: „Chciałbym, abym wdawał się w jakieś walki, w jakieś cłędne sprawy, z których nic nie wynika? Poza czasem istnieje na szczęście znacznie piękniejszy i pogodniejszy świat materialny, wlecznie dzieła, wieczny gatunek kultury, najzupełniej obojętnej na starcia klas i narodu.”

Postawa Hirsberga nie została tak wyraźnie, ostro i konsekwentnie skomercmitowana i oskarżona, jak to czyni Brandys wobec Szarleja.

Hirsberg będzie dalej zachwycał się sztuką w swojej cichej i spokojnej Anglii pozostając z daleka od całej polityki. Brandys pokazał, że tacy Hirsbergowie, tacy Szarlejowie nie mogą istnieć poza historią, poza czasem.

Wyderzenia zagarniają ich z całą bezwzględnością w swoje tryby, kapitalizm wyzyskuje nawet ich całkowitą bierność. Oburzenie Tomasa wobec Hirsberga jest tylko moralnym załamaniem rąk, a nie oskarżeniem klasowym.

Pogadanka Zuławskiego została napisana poprawnie, według najwzniejszego pedręcznika, ale przetrza są już mocno przestarzałe i źle ilustrują.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

KRYTYKA IDEALIZMU¹⁾

Paradoksem kultury okresu kapitalizmu jest współistnienie i równoległy rozwój dwu wykluczających się wzajemnie dziedzin myśli ludzkiej — nauki i filozofii idealistycznej. Paradoks ten polega na tym, iż burżuazja, z jednej strony, popiera rozwój nauki, gdyż korzysta z jej wyników dla zwiększenia swych zysków, z drugiej zaś — kultury ograniczające zasadniczo znaczenie nauki doktryny idealistycznej, gdyż te, hamując proces uświadomienia mas pracujących, przedłużają panowanie kapitalizmu.

Ale jak każdy paradoks kapitalizmu tak i ten ma swoje historyczne rozwiązanie. Postęp nauki współczesnej i związany z nim rozwój filozofii materialistycznej — uwarunkowane rozwojem klasy robotniczej do roli wywoławczy i ludzkości z „ustroju paradoksu” — oto nieuchronne rozwiązanie paradoksu nowoczesnej kultury. Naukowa filozofia, materializm dialektyczny, głoszący i uzasadniający nieograniczonosc poznania naukowego, obala wszelki idealizm i podważa tym samym teoretyczne podstawy kapitalizmu.

Rzecz zrozumiała, że póki kapitalizm trwa, ogólnowiatowo, pełne zwycięstwo nauki i naukowego poglądu na świat jest niemożliwe. Burżuazja bowiem wydaje coraz to nowych apologetów, którzy stare tezy idealizmu głoszą w różnych nowych, zawikłanych formach i posługują się nowymi chwytami w argumentowaniu. Nie nowymi argumentami, bo takich nie ma, ale nowymi sposobami ich formułowania i rozpowszechniania. Z tych racji zadaniem stającym przed filozofią naukową, przed każdym człowiekiem, któremu drogi jest postęp nauki, winno być demaskowanie i zwalczanie wszelkich ukrytych i jawnych tendencji idealistycznych. Toczy się walka nauki z idealizmem.

Dziełem wnikliwego zrozumienia podłoża i sensu walki nauki z idealizmem jest książka wybitnego filozofa angielskiego M. Cornfortha¹⁾. Ci wszyscy, którzy narzekali na brak krytycznej analizy najnowszych kierunków filozofii idealistycznej, mają powód do zadowolenia. Książka Cornfortha stanowi bowiem poważną i udaną zarówno pod względem metodologicznym jak merytorycznym krytykę wszystkich „osiągnięć” filozofii burżuazyjnej. Wartość tej krytyki jest tym większa, że dokonana została z pozytywnego stanowiska i daje pozytywne konkluzje. „Moim punktem wyjścia — pisał Cornforth we wstępie — jest materializm, który w swojej formie nowoczesnej znany jest pod nazwą materializmu dialektycznego. Filozofia ta posiada wyraźnie określone kryterium, przy pomocy którego ocenia się wartość wszelkiej innej filozofii. Wartość każdej filozofii mierzy się według tego kryterium tym, jak dalece pomaga ona w zrozumieniu i w rozwiązywaniu praktycznych problemów, które stają przed ludzkością. Oto próba nie tylko jej społecznej użyteczności, lecz i jej prawdziwości”²⁾.

Stosując to kryterium do oceny pracy Cornfortha, trzeba powiedzieć, iż spełnia ona z powodzeniem swoje zadanie, a mianowicie zbadanie i skrytykowanie tzw. „czystego empiryzmu”, stworzonego przez Berkeley'a oraz różnych kierunków logiki nowoczesnej, przy czym teza naczelna, która Cornforth uzasadniał, była, iż „współczesna filozofia empiryczna — logiczna analiza, logiczny empiryzm i pragmatyzm — w głównych swych zarysach stosują się do tradycji ustalonej dwięście lat temu przez Berkeley'a” (str. 384).

Przedmiotem rozważań pierwszej części książki jest „czysty empiryzm”. „Czystym empiryzmem” nazywa Cornforth „doktrynę twierzącą, że wrazenie jest źródłem wszelkiego poznania, ale jednocześnie zaprzeczającą że wrazenie to i poznanie odnoszą się do materialnego świata, istniejącego obiektywnie poza kręgiem własnych wrażeń i idei” (str. 43-44). (Przedstawiciele: Berkeley, Hume, Kant, Mach i agnostycyzyzm”. Cornforth tłumaczy społeczne źródła i konsekwencje tej doktryny. Wobec żywego rozwoju nauk, wiążącego się z rozwojem kapitalizmu — idealizm i jego formy religijne stały się poważnie zagrożone. Ale „nowoformujące się kapitalistyczne społeczeństwo nie mogło obejść się zarówno bez nauki jak i bez religii (str. 35). W interesie burżuazji leżało „pogodzenie” jednej z drugą.

Wtedy to biskup Berkeley formułuje swą idealistyczną doktrynę, zapobiegającą zwycięstwu i szerzeniu się nauki i ateizmu. Nie mogąc zaprzeczyć oczywistych prawd i praktycznych rezultatów nauk przyrodniczych Berkeley ustanowił swe negatywne założenia na gruncie teorii poznania. Głosił on (i jego następcy), iż poznanie naukowe nie jest poznanie zewnętrzne, realnego świata, lecz poznanie wewnętrznych, własnych (subiektywnych) doznań (wrażeń i idei), które istnieją w człowieku same z siebie (lub dzięki jakiejś nadprzyrodzonej, tajemniczej istocie, jak to utrzymywał Berkeley i mistyk Wittgenstein), a nie na skutek oddziaływania na nas niezależnej od nas przyrody. Logiczną konsekwencją takiego poglądu jest t.zw. solipsyzm (krańcowa odmiana idealizmu subiektywnego), wedle którego nie ma w ogóle materialnego świata, obiektywnej przyrody, jest tylko „Ja” a to „Ja” to tylko samolne wrazenia i idee. Nauka więc, z punktu widzenia czystego empiryzmu jest użyteczna, ale nie można na niej polegać w taki sposób, jak to robią materialści, dotyczy ona bowiem tylko naszych wrażeń i co najwyżej ustala jakieś prawidłowości w układach naszych

wrażeń. A zatem wedle subiektywnego idealizmu prawdę głosi zarówno nauka, tak pojeta, jak każde wiwienie idealistyczne (supranaturalistyczne).

Ta godząca w podstawy nauki doktryna, jak wykazuje Cornforth w 6 rozdziale książki, referując krytykę Engelsa i Lenina, opiera się na wyraźne fałszywych przesłankach. Po pierwsze, poznanie naukowe osiąga się nie na drodze poznania własnych, prywatnych wrażeń i idei, lecz w społecznej praktyce. „Poznanie jest sprawą publiczną, a nie prywatną; jest wspólnym wytworem i wspólną własnością wielu ludzi, zorganizowanych w społeczeństwo, a suma poznania zdobytego przez społeczne współdziałanie nie mogła by być osiągnięta przez jakąkolwiek jednostkę, nawet gdyby był to najsprytniejszy empirysta na świecie” (str. 73). Po drugie, ostatecznym źródłem poznania, tym do czego odnosi się nasze poznanie jest obiektywna rzeczywistość, która oddziaływała na nas w ten sposób, że wywołuje w nas wrazenia i idee. Dla uzasadnienia tego Cornforth przytacza synonimiczną odpowiedź Engelsa dana agnostykom. „Niewątpliwie trudno jest — pisał Engels — obalić w ten sposób rozumowania (agnostycyzmu — Z. Ch.) jedynie przy pomocy argumentów. Ale ludzie działali, zanim zaczęli argumentować. Na początku był czyn”. Toteż działanie człowieka rozwiązało trudności (trudności zdobywania poznania przedmiotów materialnych) na długo, zanim mędrkowanie ludzkie wymyśliło je dla swoich potrzeb.

A zatem materializm dialektyczny stoi także na gruncie empiryzmu, w przeciwieństwie jednak do „czystego empiryzmu” utrzymuje i uzasadnia, że poznanie naukowe poprzez „społeczne poznanie”, że się tak wyrażę, wrażeń zdobywanych w społecznym oddziaływaniu na przyrodę, dotyczy świata obiektywnego. „Podstawowym celem poznania jest stworzenie i rozwinięcie poglądów i teorii dostatecznie zgodnych z rzeczywistością naturą rzeczy, abyśmy mogli z powodzeniem oddziaływać na te rzeczy” (str. 78). Owo „powodzenie”, praktyczne skutki stanowią sprawdzian naszej teorii, nauki.

Przeprowadziwszy gruntowną krytykę czystego empiryzmu Cornforth tak kończy rozważania nad nim: „Jest ona (filozofia czystego empiryzmu — Z. Ch.) antynaukowa i reakcyjna, lecz w zamaskowanej postaci. Nie przeczy otwarcie prawdzie naukowej, ale przeciwnie, rzekomo przyjmując prawdy naukowe, pośrednio je odrzuca. Konkluzja ta utwierdza tylko konkluzje poprzedniego rozdziału: filozofia ta hamuje rozwój nauki, powstrzymując postęp materialistycznego oświecenia naukowego oraz wklajając i zniekształcając osiągnięcia nauki” (str. 58).

c.d.n.

1) Maurice Cornforth: Nauka przeciw idealizmowi. Rozważania nad „czystym empiryzmem” i logiką nowoczesną. Książka i Wiedza. 1948. Str. 382.

2) M. Cornforth, cyt. wyd. str. 8. Pezostłe cytaty — z tejże książki. W nawiasach oznaczone strony.

ROZMOWY NA DRODZE

(dokończenie ze str. 1)

— Połowe życia — mówi wreszcie — oddabym tym, którzy by widmo wojny odegnali z nad światą raz na zawsze.

Szferem, który prowadzi traktor, jest młody chłopak, syn biedniaka z sąsiedniej gminy. Cynięk miał młodość, wystugując się bogactwem jako pastuch, a potem parobek. Az się dwa lata temu zbuntował, wybił bruchafemu gazdzie parę zębów i uciekł do miasta. O wojnie mówi gniewnie soczystym językiem szoferów:

— Niech jasne pioryny wylukają tych, którzy zamiast szycywać nowe traktory szycyją czołgi i wojnę...

Droga kończy się w gromadzie Wilczyńska. Wiąza się z jej terenem bolesne wspomnienia sadecko-gorlickich ludowców i behocwów. O świecie któregoś sierpnia 1944 roku jeden z odcinków tej wsi otoczył silny oddział żandarmerii i gestapo. Z domu Wątróbskich, który był najwyższym punktem działań konspiracyjnych i siedziba jednego z najdzielniejszych żołnierzy Polski Podziemnej, komendanta oddziału LSB Kazimierza Wątróbskiego „Sępa” — wywiekli ślepacze jego starą matkę i kilkoro rodzeństwa. Z sąsiedniego domu przynagli jeszcze parę osób i razem je, po godzinym „śledztwie”, zmasakrowanych do niepoznania — rozstrzelali, a dom spalili.

Jedna z pozostałych przy życiu siostr „Sępa” — Zuzanna jest aktywistką Powiatowego Zarządu ZMP w Nowym Sączu. Jej smagła twarz na wspomnienie minionego staje się biała jak parafina. Czarne oczy wilgotnieją, ale zaraz opnowuje się i głosem zmatawionym od wzruszenia mówi:

— Młodzież polska nie rośnie po to, aby ginać z dolarowe interesy kapitalistycznych rekinów. Ona rośnie po to, aby walczyć, ale walczy o zdobycie wiedzy, o szybki rozwój socjalistycznej ojczyzny — aby żyć dla jej i własnego szczęścia.

JÓZEF BIENIEK

STANISŁAW MEDELSKI

POWIEŚĆ O KAPITALISTYCZNYM CYRKU

Ze względów przede wszystkim poznawczych w pełni przyklasnąć należy inicjatywie Erwarda Bassa, znanego czeskiego dziennikarza, felietnisty, satyryka i historyka kultury, który za temat swej jedynej obszernej powieści¹⁾ obrał egzotyczny świat cyrku, wykazując przy tym pedantyczną wprost znajomość życia i sztuki cyrkowej.

Edward Bass należy do starszej generacji współczesnych czeskich pisarzy realistów, którzy swa działalność artystyczną rozpoczęli już w pierwszych latach naszego wieku. Wydano obecnie w przekładzie polskim jego książkę pt. „Cyrk Humberto”. Mimo iż tematem powieści jest międzynarodowa „zbieranina” pozornie wyzolowanych z życia społeczeństw europejskich cyrkowców — Bass, ukazując na przestrzeni czterech pokoleń powstawanie, rozwój i upadek Cyрку Humberto, potrafił z dużą siłą wyrazić artystycznego powiązanie losy tego pozornie „autonomicznego” przedsiębiorstwa z kierunkiem rozwoju ustroju kapitalistycznego.

Rodzący się kapitalizm daje możliwości rozwojowe sztuce cyrkowej, która dziedziną tradycje średniowiecznego kuglarstwa grodowego. Ale w miarę postępowania stabilizacji nowego ustroju, zaczyna się rozkład i upadek sztuki cyrkowej. „Burżuazja odarła z aureoli świętości wszystkie rodzaje zajęć, które cieszyły się dotychczas szacunkiem i na które spoglądano z trwożną czcią. Lekarza, prawnika, księdza, poetę, uczonego zamieniła w swoich płatnych najemnych robotników” — czytamy w „Manifestie Komunistycznym”²⁾. Podobnie stało się z Cyrkami Humberto. Znajdując się w stałej i bezwzględnej walce konkurencyjnej z innymi przedsiębiorstwami cyrkowymi, Cyrk Humberto musiał w końcu zrezygnować z troskliwego pielęgnowania sztuki akrobatycznej i hipicznej. Musiał w ostateczności pójść na schlebianie niewybrednym gustom starych bywalców — płaskich drobnomieszczuchów.

Bardzo trafnie podchwytuje Bass fakt, że kryzysy gospodarcze kapitalizmu szybko odbijały się na zahamowaniu rozwoju sztuki. Oto co powiada wielki kapitalista Hugenbeck do właściciela Cyрку Humberto: „Cyrk to, proszę pana, na-

prawdę piękne i pełne powabów przedsiębiorstwo, ale musi pan sobie jasno uświadomić, że z gospodarczego punktu widzenia jest to, żeby ta rzecz, pasażer. Wiedzie mu się świetnie, póki ludziami dobrze powodzi, ale dla świata, gdy się załame, pierwszą rzeczą, której się wyrzeknie, jest rozrywka...”

Stwierdzając trafne ujęcie przez Bassa dziejów Cyрку Humberto w ścisłym związku z rozwojem społecznym, musimy jednak zwrócić bacniejszą uwagę na jego metode pisarstwa. Mimo wszystkich walorów trudno byłoby zaszerogować „Cyrk Humberto” nawet do rzędu utworów mieszczańskiego realizmu krytycznego. Jest to po prostu nieskomplikowany opisowy realizm, spokrewniony blisko z naturalizmem. Po przeczytaniu powieści stwierdzamy, że Bass na 560 stronach przedstawił dzieje upadku i klęski cyrku w ustroju kapitalistycznym. Równocześnie jednak z jawnością zauważamy, że Bass nie tylko nie dostrzegł kierunku rozwojowego kapitalizmu, lecz tego rodzaju ujemne cechy systemu kapitalistycznego, jak kryzysy gospodarcze, wyzysk, bezwzględna walka konkurencyjna itp. Pojmował jako wiecznie istniejące cechy społeczeństwa ludzkiego. W związku z tym w książce roi się od nie wiadomych wynikających z klasowego ograniczenia fałszowań obiektywnej rzeczywistości.

Oto kilka przykładów: Młody Czech Vandelin Malina, wywędrował w poszukiwaniu pracy do Francji. Tam, pozostawiony swemu losowi, zniechęcił się do obecności środowiska i zaprzagnął wrócić do Czech. Nie znalazł jednak ani drogi do domu, ani nie posiadał środków na podróz. Wtedy właśnie natyka się na niedawno powstały cyrk Humberto, którego właściciel podejmuje się zabrać go ze sobą do Pragi. Malina pomoc tę ma optać swą pracą w cyrku. Bass kreuje w związku z tym Humberta na wielkiego humanitarystę, który zliłował się nad ubogim, osamotnionym młodzieńcem i przysparzał go, troskliwie do siebie. Jednocześnie dowiadujemy się, że zanim Cyrk Humberto trafił do Czech, Malina przewędrował z nim całą Francję, Holandię, Niemcy, Szwajcarię i Wochoy, pracując jako robotnik od

świutu do nocy jedynie w zamian za nędzne wyżywienie.

Podobnie rzecz się ma z czeskim murarzem Karasem i jego synem Wackiem. Trzeci z kolei dziedzic Cyрку Humberto, Piotr Berwitz, przyjmuje starego Karasa do pracy, ale równocześnie bezpłatnie wykorzystuje pracę siedmiolatniego Wacka. A pracy chłopiec miał niemało. „Wszędzie jest pełno rzeczy i spraw, które Wacek musi śledzić i zgłębiać. A ile jest tego, co on sam musi robić — czytamy w powieści. — Jedzą z miasta do miasta, a on na Mary musi być odpowiedzialny za pozostałe trzy kucyki, które galopują przy jego boku. Gdy zatrzymają się gdzieś na nocleg, natychmiast trzeba stawić przenośną stajnię. Wacek staje więc przy wyznaczonych mu płótnach i szybko łączy je zsnurowaniami. A zaraz potem trzeba lecieć ze stajennymi po słome, po owies, po siano, po wodę. Trzeba wytrzeć koniki wiechciami słomy i naturalnie opatrzyć im kopyta, jak tego co dzień wymaga Hans... Gdy przyjdzie wyznaczone na postój miasto, trzeba pomóc i przy budowie namiotu, więc Wacek morduje się ze stopniami i ze składanymi krzesłami do łóż. Po zmontowaniu obwodu areny nadjeżdżają wozy z trocinami... Pełno jest przy tym wszystkim roboty dla chłopca takiego jak Wacek, którego każdy do pomocy zawoła i który dobry jest na tysiące poyłek.”

Jest to oczywiście jeszcze jeden dowód na najbardziej perfidny wyzysk nieletnich — ale Bass usiłuje zagadnienie ustawić w całkiem innej płaszczyźnie: czytamy bowiem dalej o korzyściach moralnych i wychowawczych, jakie uzyskiwał Wacek dzięki (darmowej) pracy. Z tomu powieści jednak wynika, że gdyby przypadkowo wśród robotników cyrkowych nie znalazł się ex-inteligent czeski, Wacek nie tylko zapomniałby w tej międzynarodowej mieszaninie swego ojczystego języka, ale pozostałby także na zawsze analfabeta — mimo swej nieprzeciętnej inteligencji i wszechstronnych uzdolnień. Bass przedstawiając te fakty nie umie odkryć kryjącego się za nimi oblicza wyzysku.

Inny niedostatek powieści: w

1) Edward Bass: „Cyrk Humberto”. Wyd. „Książka i Wiedza”, 1950. Z czeskiego przełożył Zdzisław Hierowski. Stron 560.

2) Patrz: Karol Marks: „Dzieła wybrane” t. I Wyd. „Książka” 1947 r. Str. 172.

JERZY PIÓRKOWSKI

LONTY REWOLUCJI (II)

III

„Wybrałmy Radę Delegatów Robotniczych, aby być nie jak piasek, którym lada podmuch wiatru pomiata, ale spójni jak granit jedną miarą, jednym czynem”, z tymi słowami na ustach narodziła się Zagłębiowska Rada Delegatów. Podczas gdy w Warszawie rewolucyjna lewica lekceważąco odnosiła się do zagadnienia rozbijania Niemców i tworzenia własnej proletariackiej siły zbrojnej, gdy więc karabiny z rak niemieckiej burżuazji przeszły do polskiej, tutaj w Dąbrowie, na wezwania SDKP i L i PPS-Lewicy już w dniu 2 listopada 1918 roku robotnicy rozbijają około 300 Austriaków i natychmiast rozpoczynają werbunek do zbrojnej siły proletariatu Zagłębiowskiego: Czerwonej Gwardii.

10 listopada w Sosnowcu na wielkiej manifestacji robotnicy witały „z największą radością rewolucyjny proletariatus Rosji — i jego rząd rad robotniczych — rząd komisarzy ludowych”. Następnego dnia, o świcie, z kolei niemieckie Mauzery dostają się do górniczych rąk proletariatu Sosnowca. Czerwona Gwardia zajmuje teren robotniczego przedmieścia Sosnowca — Sielc. Patrole beselerscyków są na Sielcach bezwzględnie rozbrajane. Czerwona Gwardia rychło otrzymuje jednolite umundurowanie. Urasta w okresie swego najsilniejszego rozwoju do liczby kilku tysięcy uzbrojonych ludzi i posiada swoje oddziały w Sosnowcu, Czeladzi, Milewiczach, Grodzcu. W dniu 8 listopada w Dąbrowie zamary fabryki i kopalnie. Ulicami miasta przechodził pochód spowity w czerwone sztandary. To robotnicy doprowadzali swoich delegatów na pierwsze zebranie Rady. „Głos Robotniczy” pisał o tym: „Piękny, potężny, wzruszający obraz: proletariatus szedł jak niezwalczony moczarny, choć nie miał broni przy sobie”. Pochód zastał drzwi sali posiedzeń — Resursy Obywatelskiej — szczerze zaryglowane. Gdy próbowano się dobijać, ukryci wewnątrz beselerscy odpowiedzieli strzałami. Tutaj, w bratobójczym dymie prochowym osunęło się robotnicze ciało na bruk. Był to Eugeniusz Furman — pierwsza ofiara kul polskiej burżuazji. Ale kule nie straszyły robotników. Zaalarmowano patrole Czerwonej Gwardii, które przystąpiły do akcji. Pod ich osłoną ogólna przeniesiono zebranie na kopalnię „Paryż”. Tutaj to wśród huk robotniczych strzałów rozdziała się rewolucja polska.

Uchwalona na „Paryżu” deklaracja m. in. głosiła: „W dzisiejszym momencie występowania do walki rewolucyjnej mas proletariackich Dąbrowska Rada Delegatów Robotniczych, jako zaczątek władzy proletariackiej w Polsce, przesyła swe rewolucyjne, proletariackie pozdrowienia Rządowi Komisarzy Ludowych w Rosji jako przewodnikowi Międzynarodowej Rewolucji Socjalistycznej...”

„Dąbrowska Rada Delegatów Robotniczych postanawia zwrócić się do robotników całego kraju z manifestem wyzywającym do tworzenia Rad Delegatów w mieście i na wsi i do przygotowania się do ujęcia całej władzy w swe ręce.

Dąbrowska Rada Delegatów Robotniczych postanawia, aby robotnicy natychmiast się uzbrajali w szeregach Czerwonej Gwardii. Rychło poszczególne rady łączą się tworząc jednolitą Radę Delegatów dla całego Zagłębia. Rozporządzając zbrojnym ramieniem — Czerwona Gwardia, Rada Delegatów przeprowadza stanowczo szereg posunięć, mających na celu poprawę bytu, i warunków pracy robotnika (np. obmłodżony dzień pracy, stopniowanie podwyżki płac, usprawnienia aprowizacyjne) nakładą podatek na właścicieli kopalni i fabryk, zmuszając ich do pokrywania kosztów utrzymania Czerwonej Gwardii.

Co jest źródłem siły Zagłębiowskiej Rady?

Otóż przede wszystkim jej skład osobowy. W Radzie zdecydowana większość posiadała komunistów. Dalej, za Radą stoi zdecydowany w działaniu, bojowy proletariatus Zagłębia, który wielekroć samorzutnie nadaje swojej walce rewolucyjnej formy. Zwycięski, czerwony sztandar Zagłębiowskiej Rady nie daje znać w Warszawie. Znowu niecierpliwia się Hughesy. Pilsudski zdaje sobie dobrze sprawę z tego, co znaczy przykład Zagłębia dla mas ludowych całej Polski!

Przekablowuje spieszącego do gen. Rojla, do Krakowa: „Polecam waszej uwadze zagrożone rozkładem maksymalistycznym miejscowości Zagłębia Dąbrowskiego”.

„Należy mieć rezerwy w sile przynajmniej dwóch kompanii oraz oddziałów karabinów maszynowych...”

Roja w swoich wspomnieniach tak komentuje ten rozkaz:

„Bądź co bądź, kierunek polityczny czy społeczny, a zwłaszcza ludzie reprezentujący go, zasługują na uwagę. Widocznie jacyś całkiem realni ludzie”.

A ci „realni ludzie” poczynają sobie coraz lepiej. Rada Delegatów tworzy już organizacyjnie szereg wy-

działów o funkcjach wykonawczych, które dobitnie ukazują jej aktywną rolę i szeroką płaszczyznę działania.

Są to wydziały: aprowizacyjny, ekonomiczny, zdrowia publicznego, administracyjno-publiczny, wydział uzbrojenia robotniczego obejmujący Czerwoną Gwardię, jak również robotę szkoleniową nowych kadr, oraz ściśle zakonspirowany wydział walki z kontrrewolucją.

„Ale już burżuazja polska, ten wieloletni pies spuszczonej ze smyczy przez kolejne zwycięski imperializm, próbuje kąsać. W pewien grudniowy, mroźny świt ulice robotniczego Sosnowca i jego mieszkańców budzi tętent kół, łyk konskich, miarowy zódnacki łrrok i śpiew, głuchy łoskot toczących się ciężko dział. Do miasta wkraczają dwa pułki piechoty, pułk kawalerii, dwie baterie artylerii polowej.

Zwarty kordon wojska otoczył robotnicze dzielnice Sosnowca. „Sztandar socjalizmu” pisał: „O kilka kroków od siebie stoją z karabinami czerwonogwardzista i przedstawiciel białego wojska”. Burżuazja próbuje zdławić Komunę Zagłębiowską. Ale nie jest to łatwa sprawa, choć wobec mierzających przewagi sił wszelka próba oporu zbrojnego jest zgóry skazana na klęskę. Trzeba sobie przy tym jasno uświadomić fakt, iż w swoich rewolucyjnych poczynaniach Zagłębie jest osamotnione. Nie udziela jej żadnej konkretnej pomocy partia, a warszawska, oświadczona przez PPS Rada Delegatów wysłała tylko jeden protest za drugim. I burżuazja szaleje. Nad Zagłębiem wchodzi widmo białego terroru.

Całe przedmieścia robotnicze padają jego ofiarą. Terroryzowano ulicę po ulicy, dom po domu, dokonując rewizji, katując robotników, a niejednokrotnie rabując i gwałcąc. Jednocześnie do oddziałów Czerwonej Gwardii wysłano ultimatum, żądając natychmiastowego złożenia broni. Wobec beznadziejności stawiania oporu, Czerwona Gwardia schodzi do podziemi, broń wędruje do zakonspirowanych składów.

Odzywają wspomnienia carskich gwałtów i mordów. 18 grudnia do kopalni „Czeladź” wpada patrol białych. Dowódca patrolu oficer, kłnąc w straszliwy sposób, z wsiekleścią wrzeszczy, bijąc bezbronnych robotników kolbą nagana: „Znajesz eto, pomnij tysiacyzny dziewiatosot piatij god. Ubiuju kak sobaku!”

Proletariatus Zagłębia rok 1905 dobrze pamiętał. Pamiętał smukłą, zda się spalającą w sobie od rewolucyjnego żaru sylwetkę Feliksa Dzierżyńskiego, który z kopalni „Renard” szedł śmiało z górnikami naprzeciw kozakom kopytom i szablom do hut „Katarzyn”. Pamiętał tamta, oficie wylana robotniczą krew i stawała w tych dniach znak równości między carską a polską burżuazją, podobnie jak w swojej pierwszej deklaracji w Dąbrowie stawał znak równości między swoją walką a walką młodzieńczego, zwycięskiego proletariatus Rosji.

Dlatego też nie uląki się carskiego stupałki, przebranego w legionowy mundur.

Nie uląki się i wówczas, gdy od grózb kontrrewolucja przeszła do czynów, gdy w Będzinie aresztowano 16 działaczy Rad. Gdy trzymano ich przez całą meczesną noc pod śledztwem i nieładzie katowano. Gdy wrzeszcze ostatniego z nich, towarzysza Dziekana, dosięgła z tyłu kłedy wychodził z katowni, kula w plecy. Padł wkrótce i Dylong, jeden z dowódców Czerwonej Gwardii, górnik z kopalni „Renard” jedna z najpiękniejszych postaci rewolucyjnych owego okresu.

Działo się to już w tych dniach, gdy ulice Sosnowca pędziły od wojskowych patroli białych. Gdy robotników na ulicy, w biały dzień, pod ładą pozorom, masakrowano kolbami.

Wówczas to Dylonga i jego towarzyszy zaczęli czatujący na nich patrol wojskowy. Jeden z żołnierzy żądał, aby Dylong odpiął czerwono-kokardę komandara, jaką miał przypiętą przy piersi. Dylong odmówił. Posypały się na niego ciosy kolb! Ślaniał się pod razami kolb, spłynął krwią, ale milczał.

Jeden z żołdaków, rozwścieczony, przystąpił mu do piersi karabin. Dylong zakrzyknął: „Niech żyje Czerwona Gwardia!”.

Żołnierz pociągnął za spust. Karabin nie wypalił. Rozgorączkowany tym, bodząc łufą Dylonga, pociągnął poraz drugi. Ten runął na bruk. Wokół kokardy czerwonogwardzisty wykwitła czerwona gwiazda krwi.

Tak odpowiadał proletariatus na terror burżuazji.

Tak nieuleknie umierał z wiarą w przyszłą zwycięską rozprawę z burżuazją z wiarą i miłością dla swojej siły zbrojnej, dla Czerwonej Gwardii.

Na próby terroru odpowiadało całe Zagłębie. Strajk następował za strajkiem, a pochody z poszczególnych miast przedzierały się przez kordony wojsk, przez krów mordowanych, przez rany i śmiertelne idących obok towarzyszy, i łączyły się, tylekroć rozprasane i masakrowane, na nowo w wielki, potężny, wietolysięcy potok, na widok którego bie-

dli policjanci i wojskowi satrapi Zagłębia.

Dąbrowa, „Huta Bankowa”, Będzin — oto nowe pola bitew bezbronnego, a przecież jakże wspaniale walczącego proletariatus Zagłębia.

I nowi żołnierze rewolucji padli w tej walce. Oto nazwiska niektórych: Macierak Józef, sekretarz komitetu na kopalni „Paryż”, Ziątek Antoni, spawacz na „Paryżu”, Krupa Stanisław, rębacz z „Mortimeru”... i wielu, wielu innych...

Czego żądali wówczas te obrzymie, wietolysięczne pochody proletariatus Zagłębia, za co przelewały bez skargi, bez żalu krew i dawały życia?

Pisał o tym w dniu 13 marca 1919 roku „Komunisty”:

„...W sprawie wojny robotnicy całego kraju żądają: Bezwzględnej przerwania wszelkich działań wojennych, w szczególności przeciw rewolucyjnej Rosji, Litwie i Białorusi...”

Zniesienia zbrodniczej, tajnej dyplomacji i wszczęcia jasnych i publicznych rokowań pokojowych, w których w imieniu proletariatus Polski weźmie udział przedstawicielstwo Rad Delegatów Robotniczych”.

Takim głosem przemawiała polska klasa robotnicza w obronie radzieckiej rewolucji. Głosem międzynarodowej solidarności klasy robotniczej, głosem nabrzmiałym wiarą, miłością i proletariackim przywiązaniem dla Związku Radzieckiego, głosem który doprowadzał do wsieklejści imperialistycznych podżegaczy wojennych.

I to był ów wielki, drogi historii polskiego ruchu rewolucyjnego, głos Rad Delegatów 1918—1919 roku.

Głos ten mimo terroru, mimo policyjnych palek, kulomiotów i wieździe będzie rozbrzmiewał coraz silniej. Ów głos pokoju będzie spędzał sen z powiek pilsudczykowskiej agencji imperialistycznej, będzie stawał zapórą, bez której zgniecia i burżuazja polska i międzynarodowa to rozumie, niemożliwym staje się napad na Związek Radziecki. W „Biuletynie” Rady Delegatów Robotniczych z dnia 11 maja proletariatus Zagłębia rzuca w twarz imperializmowi światowemu i jej agencji polskiej to wielkie proletariackie wyzwanie. Jest to wyzwanie przyszłego grabarza imperializmu, który posiada świadomość swojej roli w historii.

„Armia Pilsudskiego...” przez ciosy zadawane robotniczo-chłopskiej Republice Litwy i Białorusi, bieje w robotniczą Rosję, torując drogę pochodom kontrrewolucji międzynarodowej przeciw temu głównemu dziś ognisku i otol rewolucji proletariackiej na całym świecie. Przeciwni tej krwawej zbrodni, przeciw temu szatańskiemu dziełu kontrrewolucji Rada Delegatów Robotniczych Zagłębia Dąbrowskiego zakłada najuroczystszy protest i żąda bezwzględnej przerwania wojny z robotniczo-chłopską Litwą, Białorusią i Rosją...”

„Żołnierze polscy, nie bądźcie katami chłopów i robotników litewskich i białoruskich!

Bratujcie się z nimi! Nie niszczyć zdobyczy ich rewolucji, nie zapędzajcie ich z powrotem pod bat szlachty i burżuazji!”

Taki to był głos tej cytadeli proletariackiej wolności: głos przeciw wojnie, głos w obronie Kraju Rad, głos wyzywający do czynnej, śmiałej i bezkompromisowej walki o pokój.

Głos ten przetrwał czasy terroru, czasy faszyzmu. Ustokrotnił się w głosie jedyne, bojowego poety polskiej klasy robotniczej, który tutaj na hucie „Bankowej”, na kopalni „Reder” widział potężniejące miny proletariackiej rewolucji i tutaj kazał jej zapalać.

W latach międzywojennych, w okresie terroru sanacji, w okresie ponownej agresji, przeciwko Związkowi Radzieckiemu, tutaj to proletariatus Zagłębia na pytanie rzucone przez poete: Gotowe? Odpowiadał głosami milionów: Gotowe! I walczył znowu pod sztandarami K.P.P. w obronie Kraju Rad, w obronie pokoju.

Dzisiaj ta walka u nas, w kraju zwycięskiej rewolucji, inaczej wygląda. Nad Zagłębiem co noc wstaje luna potężnej, socjalistycznej roboty. Wyzwanie, jakie rzucili w obronie Kraju Rad przeszło trzydzieści lat temu proletariatus Czerwonego Zagłębia, rzucają dzisiaj w twarz własnej burżuazji i światowemu imperializmowi dokerzy Francji, górniczy Nadrenii. Trzydzieści lat temu ów głos proletariatus Zagłębia nie mógł, mimo ofiar i trudu, powstrzymać wojennej lawiny najeźdźczej przemocy. Dzisiaj ten głos rozbrzmiewa na całej kuli ziemskiej, z tysięcy czerwonych miast, z milionów wsi i osad chłopskich, spowitych tymi samymi sztandarami.

Dzisiejsza znowu krwawa i ciężka, ale zwycięska walka, to triumf partii nowego typu, które te walkę prowadzi, partii wyrosłych z myśli, doświadczeń, walk i trudów bolszewików, z twórczego tych myśli, doświadczeń, walk i trudów symbolu: Geniusza Józefa Stalina.

Jerzy Piórkowski

Dzieci wiejskie o pokoju

„Ja chcę pokoju, żeby już więcej nie było wojny. Bo ja wiem co znaczy wojna. Mojego tatusia wywieźli do Niemiec i tam musiał ciężko pracować. Ja chcę pokoju, pokoju, pokoju. Niech żyje nasza ojczyzna Polska” — pisze 11-letnia córka robotnika kolejowego, właściciela i ha gospodarstwa, uczennica klasy czwartej w odpowiedzi na ankietę „Mój stosunek do sprawy pokoju” w szkole podstawowej w Zygrach pow. sieradzki.

„Ja chcę żeby był pokój na świecie i żeby nigdy nie było wojny na świecie, bo ja się wojny boję. Zabrali mojego tatusia na wojnę, jeszcze do tychczas nie wrócił. Napewno go zamordowali” — wyznaje rówieśniczka poprzedniej, córka malarzowej wdowy.

Dzieci pochodzące z rodzin, których ojcowie, czy starze rodzeństwo swój polityczny stosunek do Polski Ludowej zadokumentowali przynależnością partyjną sprawę pokoju ujmują głębiej.

„Żeby nie ZSRR, to już do tego czasu mało kto by został” — oświadcza z przekonaniem 12 letni piętoklasista, syn milicjanta, członka PZPR. Na zakończenie zaś dodaje: „Precz z amerykańskimi podżegaczami wojennymi. Niech żyje Polska Ludowa”.

A oto wypowiedź innego piętoklasisty, syna malarzowej wdowy, członka Partii:

„Ja pragnę pokoju i nie chcę wojny. Bo ja choć w czasie okupacji nie byłem z rodzicami wywieziony, ale źle nam się powodziło, bo gospodarstwo nam zabrali. Myślę, że jak będzie pokój to będzie coraz lepiej, będzie Socjalizm i Kultura. I będę miał wolność do nauki. Niech żyje Pokój i Socjalizm.”

Rówieśniczka obu poprzednich pisze:

„Ja już przeżyłam straszne wojenne chwile, i dość zaznałam głodu wleząc się z rodzicami po świecie. Pod koniec wojny zginął mi tatuś zamordowany w obozie koncentracyjnym. Wyniszczyliśmy wszelkich, jakie tylko są podżegacze wojenni, podpalacze naszego pokoju.

My, jako dzieci chcemy pokoju wolnego czasu do nauki i kultury. Precz z wojną, niech żyje pokój”.

Wywieziona z rodziną do Francji w czasie wojny 14 letnia uczennica klasy szóstej, córka średniorołnego chłopca (7 ha) po odmalowaniu ciężkich osobistych przeżyć z czasu wojny oświadcza:

„Teraz już mamy chleba pod dostatkiem. I wszystko zmierza do lepszego. Nie pragnę więc wojny, lecz pragnę pokoju”.

Uczniowie klasy siódmej, którym nauka o Polsce i świecie współczesnym umożliwiła zrozumienie istoty konfliktów międzynarodowych zdają sobie sprawę z podziału świata na dwa obozy, nie obca im jest pokojowa rola ZSRR. Czasem jednak wpływ wychowawczy domu nieprzychylnego obozowi postępu zaznacza się dość wyraźnie. Oto jak pisze uczennica, której rodzice ulegają szepcanej propagandzie wroga klasowego:

„Ja nie chcę ani pokoju, ani wojny. Bez pozwolenia rodziców nie mogłam się podpisać”.

Udaje, że nie rozumie, że tertium non datur, kto nie chce pokoju, wybiera wojnę.

Inaczej natomiast stawiają sprawę dzieci z domów, gdzie dociera gazeta i książka. Oto jedno z nich pisze z ufnością:

„Imperialiści, którzy zdążają do wojny i straszą bombą atomową, to nie. Ołbrzymi Związek Radziecki i kraje demokracji ludowych stoją na straży pokoju i niepodległości”.

A jego koleżanka pisze: „Chcę się uczyć, dlatego pragnę pokoju. Teraz mam dostęp do szkół średnich nie tak jak młodzież wiejska przed wojną. Teraz w Polsce Ludowej mam dostęp do szkół każde dziecko, nawet i najbiedniejszego gospodarza, czy robotnika. Potrzebny nam jest pokój, bo potrzebujemy bardzo dużo ludzi wykwalifikowanych, by jakimś przedem dojść do socjalizmu, by każdemu człowiekowi w kraju było dobrze.”

Zanotował Jan MARSZAŁEK



W góralskiej szkole

JERZY KORYCKI

PLANTATOR FILIP SEMPEK

Nazywa się Filip Sempek! Mieszka w Zakrzewie Starym, o parę kilometrów od Otmuchowa.

Duży, widny, murowany dom. Ładna stodoła, obora, chlew, spichlerz — wszystko kryte gontem lub dachówką.

Dwie krowy, 4 zakontraktowane świnię i parę prosiąt, ładnie utrzymany koń, z tyłu stóg z sianem i siłosy na kiszonce — świadczą o tym, że Sempek jest dobrym gospodarzem. Zresztą, i w domu widać dobrobyt.

Syn chłopca małorołnego spod Myśliczna, siedział na 4 ha razem z ojcem, bratem i siostrą z jej mężem. Bieda była aż piszczała.

Nic więc dziwnego, że gdy tylko Armia Czerwona i Wojska Polskie wyzwoliły Dolny Śląsk i rozpoczęła się akcja osadnicza na tych ziemiach, Filip Sempek rzucił ciężką, przeladowaną chatę swego ojca i dotarł aż tutaj pod Otmuchów.

Dostał ładne gospodarstwo. Około 8 ha ziemi z dobrymi i dużymi zabudowaniami.

Już na jasienu 1945 r. miejscowa cukrownia, która jakoś sprawie cudem ocalała ze zniszczeń wojennych, rozpoczęła propagandę wśród nowych osadników za kontraktacją buraka cukrowego. Obiecywano dostarczyć nasion, nawozów sztucznych, nawet obiecywano, że plantatorom łatwiej będzie otrzymać konia. Przysłano jakieś broszury, zjawił się też i instruktor. I w Zakrzewie było parę zebrań gromadzkich w tej sprawie. Chłopi, z których jeden tak, jak Sempek, przyjechali z Podgórz, inni gdzieś za Bugą, słuchali nieufnie. Wiadomo, u nich na gospodarce z dziada pradziada siało się „wszystkiego po trochu. Ot, zyta — aby starczyło dla siebie i na sprzedaż, ziemniaków, czasem gdy kto miał lepszy łąn, to zarzykował i pszenicę, czasem jakieś poletko lnu, żeby tylko przeżyć i ze dwa prosiaki w ciągu roku wyhodować. A jeszcze trzeba było myśleć, żeby to wszystko umieć sprzedać i nie dać się oszukać handlarzowi na jarmarku. A tu nagle przychodzi fabryka, obiecuje dać nasiona, nawóz, zapłacić zadatek, a później bez kłopotu odebrać cały zbiór. Nic dziwnego, że chłopi słuchali tego wszystkiego bardzo nieufnie.

Tylko paru odważniejszych podpiął kontrakt. Wśród nich był i Filip Sempek. Zakontraktował niedużo, coś ze ćwierć hektara. A zresztą, kupiwszy konia, obsiał wedle zwyczaju, wszystkiego po trochu. Przeszedł pierwszy rok. Z burakami niebardzo się udało. Zebrał około 30 metrów. Instruktor, który go odwiedził, wytłumaczył, że są za gęste. Sempek niebardzo mu wierzył.

Na następny rok zakontraktował już pół hektara. A i przez zimę czytał, o burakach, jak je uprawiać, jak przerywać. Słuchał, co mu mówili instruktorzy, że gleba tutaj jest zakwaszona i trzeba przywieźć parę fur wapna z cukrowni. Raz

dostał szkołę, że nie usłuchał, drugi raz pomyślał, że trzeba robić, jak mówią ci, co się znają.

Na gospodarce nie było jeszcze lekko. Wprawdzie lepiej już niż przeszłej zimy, bo i krowa stała w oborze i dwa świniaki rosły, ale nie przelewało się u Sempeka.

Na wiosnę z pasją wziął się do swoich buraków.

A i we wsi już coraz więcej buraków sadzono. Nie jeden chłop przekonał się, zakontraktowawszy małe poletko, że ta nowa uprawa opłaca się znacznie lepiej, niż ziemniaki, niż pszenica. Chodzić przy niej trzeba dużo, ale nie chodzi się na darmo.

Drugi plon był już lepszy. Wypadło coś ze 130 q, co dawało bardzo ładny wynik 260 q z hektara. A i po raz pierwszy Filip Sempek wziął do ręki po obliczeniu się z cukrownią grubszą grosz.

Ale czuł, że coś jest jeszcze złego. Burak zamiast iść w korzeń, wyglądał jak okrągła bulwa z długą brodą.

Znowu radził się instruktora, przyglądał się innym uprawom, a nawet wybrał się aż za Nyse, żeby zobaczyć jak to gdzie indziej sobie z tymi burakami chłopci radzą. Tej jesieni, gdy znowu nadszedł czas kontraktów, Filip Sempek opowiadał na zebraniu, ile zebrał i jak na tym dobrze wyszedł. Jego wynik, mimo pewnych niedociągnięć, był jednak rekordem dla wsi. Chłop gorąco namawiał sąsiadów do podpisywania kontraktów i to nie na małe poletka ćwierćhektarowe.

— Przecież Niemcy z tego żyli i samisicie widzieli, jak żyli. Tak, jak nigdy chłop w Polsce nie żył. — Toteż obszar uprawy buraka zwiększył się znacznie. Plantatorów podzielono na grupy, na czele każdej grupy stanął przodownik, który miał bezpośredni kontakt z instruktorem ze Związku Plantatorów, a jednocześnie w terenie udzielał swojej grupie pomocy i porady. Takim przodownikiem dla swojej wsi został Filip Sempek. Sempek zakontraktował 1,2 hektara.

Resztą gospodarci chłop niewiele się zajmował. Obrobił, posiał i żyta i pszenicy i ziemniaków, ale wszystko inne musiało stać głową żony.

W 1948 r., gdy przyszło do zbiorów, ciężka całoročná praca Filipa dała obfity plon. Zebrał 360 q z ha, zajmując pierwsze miejsce w nowoorganizowanym współzawodnictwie plantatorów. Poza dochoodem z ziemi, dostał i dyplom i nagrodę 40.000 zł. Jedździł odbierać ją aż do Poznania.

Tam ten prosty chłop, który skończył 5 klas szkoły powszechnej, poszedł do profesorów uniwersytetu i rozmawiał z nimi, jak równy z równymi o tym, jak należy uprawiać buraki cukrowe, żeby dały jak największy plon. Oni mieli dużą wiedzę fachową, on był praktykiem i fanatykiem plantacji. Znaleźli wspólny język.

Właśnie Centralny Zarząd Przemysłu Cukrowniczego rozpoczął

niesłuchanie ciekawego doświadczenia, żeby metodą miczurinowską zmusić burak cukrowy, aby rósł prędzej, miał dużą zawartość cukru, dużą wagę i dawał znacznie większe plony niż dotychczas.

Jako miejsce doświadczeń wybrano właśnie Otmuchowskie. Doświadczenia prowadzono, tworząc u najlepszych plantatorów specjalne poletka doświadczeniowe, na których plantatorzy pracują przy uprawie buraka cukrowego, otrzymując na każdą czynność specjalne instrukcje i prowadząc książkę wykonywanych czynności.

Doświadczenia może by się nie udało przeprowadzić, gdyby nie Filip Sempek. Nie tylko, że zakontraktował on aż 2 ha, czyli jedną czwartą całej swojej gospodarki, pod buraki, ale również stał się największym i najlepszym agitarem przeprowadzenia doświadczeń naukowych. Tak długo namawiał chłopów, żeby deklarowali się na poletka doświadczeniowe, aż wreszcie w okolicy powstało przeszło 200 takich placówek.

Wyniki osiągnięte w tym roku (1949) są rewelacyjne i świadcza, że wybrano właściwą drogę. Buraki na poletkach doświadczeniowych udaly się wręcz imponująco. I tutaj Sempek nie dał sobie wydrzeć przodownictwa. Jego poletko dało w przeliczeniu na hektar ponad 600 q. Już w sierpniu buraki na poletku ważyły ok. 1,5 kg, a ich nac dochodziła do 3 kg wagi. Po zbiorach nierzadko trafiły się nawet 3 kg okazy, a przeciętna była powyżej 2 kg. A przecież wiemy, że na zwykłej plantacji, gdy burak dochodzi do kilograma, to już jest bardzo dobrze.

Dwa hektary pod burakiem dały więcej, niż cała 8 ha gospodarka u sąsiada, nie mówiąc już o dodatkowych pozytywach karmy.

Nic dziwnego, że siedząc w chałupie Filipa Sempeka, widzę i czuję zamożność tego, przecież zaledwie średniorołnego chłopca. Mówi cały czas o burakach. To już jest jego pasja! Projektuje, jak na przyszły rok będzie siał, jakie sposoby nawożenia zastosuje. Odrzuca się, że plony będą jeszcze większe. Opowiada, że gdyby tak cała wieś się zacyła i założyła wspólnie wielką plantację, to dopiero wówczas plony by były jak się patrzy. Uniknęłyby się błędów, które każdy gospodarz, chcąc nie chcąc, na swoim polu popełnia.

Chłop-specjalista nie boi się spótdzielczości. Nie mówi o niej wrogo, nawet wówczas, gdy ma 8 ha ziemi. Ma dobrobyt, ale nie jest bogaczem wiejskim. Nie żyje z cudzej pracy i nie żyje z cudzego wyżysku.

Na wsi dokonują się wielkie przemiany. Idą one nawet samorzutnie. Naturalnie, proces ten musi być odpowiednio kierowany, gdyż nie każdy znajdzie tak prostą drogę do socjalizmu, jaką podświadomie znalazł na swojej gospodarce plantator Filip Sempek.

JERZY KORYCKI

PODPISZ APEL POKOJU

HANNA KIRCHNER

„POGADANKA Z PRZEZROCZAMI”

POWIEŚĆ Żuławskiego „Skrzydło Dedala” obejmuje pokazywany z czasem i historią. Autor upchnął w tym niewielkim worku przedwrześniowy proces faszyzacji Polski, układ monarchijski, zajęcia Czech, napad Musoliniego na Abisynię, walki w Hiszpanii, kampanie wrzesniową, konspirację, pierwsze lata po wyzwoleniu, przemiany w odrodzonej Polsce. Mało pakowna, a przy tym z dość lekkiego materiału zrobiona torba zaczyna już pękać w szwach, ale autor przed zawiązaniem do rzuca jeszcze kilkanaście osób.

Wywołujemy je stamtąd na chwilę. Oto modele autora dla Polski lat 30-tych: w młodości legionista, następnie sanacyjny dygnitarz Gabryśiewicz, który zawiera cichaczem, z ramienia sfer rządzących, sojusz z przywódcą młodych faszyzistów Odrowążem; początkujący pisarz Tomasz Podleski; dziewczynka, którą kocha, młoda rzeźbiarka, Joanna; przyjaciel Tomasa Hirsberga, architekt-esteta; jego siostra Amelia, studentka-Zydówka, zmuszona do przerwania studiów z powodu pogromów organizowanych przez szafarzy studentów; stary działacz partyjny, uczestnik walk w Hiszpanii, Ignacy Ziemia. Są to najważniejsi przedstawiciele kilku nurtów „Skrzydła Dedala”.

Kiedy w filmie zachodzi konieczność przeskokowania z jednego okresu czasu do innego, realizator radzi sobie w ten sposób: Na ekranie ukazuje się napis: „Mijało kilka lat. W pierwszych dniach października lotnictwo włoskie zbombardowało Addis-Abebę. Czarne kolumny przekroczyły granicę Abisynii.”

Napis znika. Wraca obraz. Samolot. Zbliżenie — twarz pilota. Obraz następuje: wicska abisynijska. Zdjęcie z góry — scena rodzajowa. W perspektywie uliczki ukazują się dziewczyna. Nagły wybuch bomby zasłania wszystko chmurą dymu. Za chwilę dym opada. Z głębi ulicy nadbiega chłopak. Zalameje ręce nad trupem dziewczyny. Zbliżenie — zniekształcone ciało. Kamera cofa się, zostawiając wśród pogodnego krajobrazu malejącą plamę śmierci. Niech czytelnik wybaczy mi ten nieoczekiwany wypadek z literatury w dziedzinie filmu. Nie jest to zbieżność przypadkowa. Tak wygląda technika kompozycyjna powieści Żuławskiego. Napis na ekranie zastępuje on komentarzem politycznym, streszczającym w skrócie najważniejsze wypadki i „atmosfera czasu”, a następnie rzuca obraz którejś z postaci upozowanej zazwyczaj w ładnym geście.

„Skrzydło Dedala” przypomina okres pierwocin filmu niemeo,

gdzie sylwetki ludzie poruszają się drgającym, nienaturalnym krokiem marionetek, nie dając ani na chwilę złudzenia rzeczywistości. Książka Żuławskiego jest tak daleka od realistycznego widzenia życia, jak owe pierwsze filmy nieme od dzisiejszego stopnia rozwoju kinematografii. Zdawałoby się, że owa szybko biegnąca obrazowość filmu winna dodawać akcji dramatyzmu, dynamiki.

A jednak technika filmowa zmściła się na autorze. Rozbicie utworu na komentarz polityczny i migawkowe spojrzenia aparatu projekcyjnego na bohaterów spowodowało schematyzm i szczególną statyczność powieści.

„Skrzydło Dedala” bowiem to nie film, a raczej przezroczka. Tok narracji jest spokojny, relacjonujący. Autor wygłasza pogadankę, ilustrując ją zastygłymi w odpowiedziach pozycjami. Autor ciągle panuje nad postaciami swojej powieści, podpowiada im słowa i wypowiedzi. Rzadko kiedy widzimy je mówiące własnym językiem, pociągnięte przez nurt życia. Ani na chwilę nie przestają być schematami, niemal abstrakcyjnymi, w swojej papierowości i martwość. Wszystkie one i Tomasz i Hirsberg i Ziemia i Magda mówią tym samym językiem — inteligentnym, refleksyjnym językiem autora. Żuławski dba o „ładność”, o „elegancję” swej powieści. Każdy ruch ludzki jest tu starannie stylizowany. Postacie są autorowi posłuszne, gdyż nie krepują się on wymogami realizmu, prawdy ideowej i artystycznej. Niedostateczna wiedza o życiu, o wpływie praw historycznych na rozwój jednostki pozwala Żuławskiemu na stosowanie tanich efektów, pustych artystycznie i co gorsza fałszywych. Zalamują one prawdziwość rysunek rzeczywistości, przejawiają się złym umieszczeniem punktu ciężkości w charakterystyce danej postaci.

Takim wymownym przykładem, stanowiącym jeden z przykrzych zgrzytów w powieści jest np. scena ostatniej rozmowy Ziembę z Bukalą. Trącaca mistycyzmem koncepcja „działających przeczucie” śmierci u Ziembę, które się o dwie strony dalej sprawdzają wykrywa całkowicie jego obraz. Trzeba by tu jeszcze wymienić rozmowę Tomasza z Amelią w przeddzień wybuchu wojny (przelatująca Nike) czy zakończenie rozdziału o śmierci Amelii. Podobnie stylizowany i nie prawdziwy jest obraz narady robotników w fabryce.

Rodowód społeczny, klasowy postaci Żuławskiego istnieje tylko z nazwy, z określenia, jakie pod nazwiskiem umieszcza im autor. Nie określa ich wymowa faktów, warunków społecznych, w jakich egzystują.

Główny bohater powieści Żuławskiego, młody pisarz Tomasz Podleski, w zamierzeniu autora ma spełniać funkcje pozytywnego bohatera. Właściwy bowiem bohater pozytywny, komunista Ignacy Ziemia, ginie z rąk polskiego faszysty Odrowąża, nie doczekawszy wyzwolenia. Poczostaje on zresztą stałe w półcieniu, na jednym z dalszych planów. Tylko Tomasz przeprowadza autor — zresztą systemem napisu na ekranie — przez obóz, okupację, powstanie, aż do lat po wyzwoleniu.

Cała przemiana wewnętrzna Tomasza, jego przejście z pozycji buntującego się liberała do świadczącego współpracy w budowie socjalizmu odbywa się jakoś bardzo umownie i właściwie bierze się nie wiadomo skąd. Wiemy z powieści, iż wpływ Ignacego Ziembę był bardzo nikły, chociażby ze względu na krótkie jego kontakty z Tomaszem. Z kampanii wrzesniowej, oprócz poczucia „podświadomej” sympatii dla swych towarzyszy-robotników nie wysnuwa Tomasz żadnych wniosków.

Wiemy, iż śledził on z uwagą rozwój wypadków tuż przed wybuchem wojny, iż rozmowy z rodzimymi sanatorami i faszystami napełniają go odrządu u ustroju. Męczy go własna bezsilność. Dziwną rolę spełnia tu Joanna. Można by sądzić, iż zdradzając Tomasza dla Gabryśiewicza, ma stanowić tylko ostatnią kropkę w kielichu gorczy młodego pisarza. Tymczasem fakt, że autor każe jej podzielać los Gabryśiewicza, pozwala się domyślać intencji przedstawienia jej jako produktu ustroju. Nie jest to jednak nigdzie umotywowane i nie usprawiedliwione społecznie i politycznie świadomością Joanny, jak to ma miejsce w wypadku Gabryśiewicza i Odrowąża.

Tomasz to jeszcze jeden w naszej literaturze „inteligent” z niedocześnie balastem wahań, rozterek itp. obciąża „psychologicznych” „Skrzydło Dedala” dorzuca jeszcze jedną pozycję do „obrachunków inteligentnych”.

Jest to jakgdyby miniatura powieści Brandysa „Troja, miasto otwarte”. Zestawienie tych dwóch książek wykazałoby liczne analogie, ale i niekorzystne dla Żuławskiego różnice. Żuławski oświeca swym projektem różne odcinki rzeczywistości i wydobywa z cienia różnych ludzi, którzy nikną w nim z kolei, aby parę kartek

dalej wynurzyć się ponownie. Losy ich biegają równoległe, lub często krzyżują się z sobą, ale przy tym nierazko zdarza się, iż podejrzewamy tu wyłącznie kaprys autora, a nie logikę faktów historycznych.

Nie wykazuje on na przykładach swych bohaterów prawidłowości procesów historycznych, która by udawadniała z żelazną konsekwencją konstrukcję losów ludzkich, aczkolwiek tę prawidłowość w swej wypowiedzi zakłada.

Estetyzujący architekt Hirsberg wiele ma w sobie z Juliana Szarleja (bohater powieści „Troja, miasto otwarte” Kazimierza Brandysa), ale jakże inna jest postawa obu autorów w stosunku do swych bohaterów!

Inżynier Hirsberg ma oczy otwarte — nie ma żadnych złudzeń w stosunku do imperializmu i poszczególnych państw — jego przedstawicieli. Politykę ich ocenia surowo i trafnie. Relacja z jego pobytu w Anglii i epizod z Kate dowodzą tego wyraźnie. Ale Hirsberg pozostaje tylko na pozycjach biernego obserwatora. Od zajęcia jakiejś postawy wykręca się eskapistycznym sceptycyzmem i schrońieniem się pod skrzydła sztuki. Wojnę, która przyniosła straszną śmierć jego siostrze, spędza Hirsberg w Anglii. Do kraju nie chce wracać. Śmierć Amelii chce przemilczeć, zapomnieć.

Mówi: „Chciałbym, abym wdawał się w jakieś walki, w jakieś obłędne sprawy, z których nic nie wynika? Poza czasem istnieje na szczęście znacznie piękniejszy i pogodniejszy świat materialny, wieczne dzieła, wieczny gatunek kultury, najzupełniej obojętnej na starcia klas i narodu.”

Postawa Hirsberga nie została tak wyraźnie, ostro i konsekwentnie skompromitowana i oskarżona, jak to czyni Brandys wobec Szarleja.

Hirsberg będzie dalej zachwycał się sztuką w swojej cichej i spokojnej Anglii pozostając z daleka od całej polityki. Brandys pokazał, że tacy Hirsbergowie, tacy Szarlejowie nie mogą istnieć poza historią, poza czasem.

Wydarzenia zagarniają ich z całą bezwzględnością w swoje tryby, kapitalizm wyszukuje nawet ich całkowitą bierność. Oburzenie Tomasza wobec Hirsberga jest tylko moralnym złamaniem rąk, a nie oskarżeniem klasowym.

Pogadanka Żuławskiego została napisana poprawnie, według najświeższego podręcznika, ale przetrzała są już mocno przestarzałe i złe ilustracje.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

KRYTYKA IDEALIZMU¹⁾

Paradoksem kultury okresu kapitalizmu jest współistnienie i równoległy rozwój dwu wykluczających się wzajemnie dziedzin myśli ludzkiej — nauki i filozofii idealistycznej. Paradoks ten polega na tym, iż burżuazja, z jednej strony, popiera rozwój nauki, gdyż korzysta z jej wyników dla zwiększenia swych zysków, z drugiej zaś — kulturowo ograniczając zasadniczo znaczenie nauki doktryny idealistycznej, gdyż te, hamując proces uświadamiania mas pracujących, przedłużają panowanie kapitalizmu.

Ale jak każdy paradoks kapitalizmu tak i ten ma swoje historyczne rozwiązanie. Postęp nauki współczesnej i związany z nim rozwój filozofii materialistycznej — uwarunkowane rozwojem klasy robotniczej do roli wyzwolicielki ludzkości z „ustroju paradoksów” — oto nieuchronne rozwiązanie paradoksu nowoczesnej kultury. Naukowa filozofia, materializm dialektyczny, głoszący i uzasadniający nieograniczoną poznaną naukowego, obala wszelki idealizm i podważa tym samym teoretyczne podstawy kapitalizmu.

Rzecz zrozumiała, że póki kapitalizm trwa, ogólnowiatowe, pełne zwycięstwo nauki i naukowego poglądu na świat jest niemożliwe. Burżuazja bowiem wydaje coraz to nowych apologetów, którzy stare teorie idealizmu głoszą w różnych nowych, zawiłkanych formach i postępują się nowymi chwytami w argumentowaniu. Nie nowymi argumentami, bo takich nie ma, ale nowymi sposobami ich formułowania i rozpowszechniania. Z tych racji zadaniem stającym przed filozofią naukową, przed każdym człowiekiem, któremu drogi jest postęp nauki, winno być demaskowanie i zwalczanie wszelkich ukrytych i jawnych tendencji idealistycznych. Toczy się walka nauki z idealizmem.

Dziełem wnikliwego zrozumienia podłoża i sensu walki nauki z idealizmem jest książka wybitnego filozofa angielskiego M. Cornfortha²⁾. Ci wszyscy, którzy narzekali na brak krytycznej analizy najnowszych kierunków filozofii idealistycznej, mają powód do zadowolenia. Książka Cornfortha stanowi bowiem poważną i udaną zarówno pod względem metodologicznym jak merytorycznym krytykę wszystkich „osiągnięć” filozofii burżuazyjnej. Wartość tej krytyki jest tym większa, że dokonana została z pozytywnego stanowiska i daje pozytywne konkluzje.

„Moim punktem wyjścia — pisał Cornforth we wstępie — jest materializm, który w swojej formie nowoczesnej znany jest pod nazwą materializmu dialektycznego. Filozofia ta posiada wyraźnie określone kryterium, przy pomocy którego oceniamy wartość wszelkiej innej filozofii. Wartość każdej filozofii mierzy się według tego kryterium tym, jak dalece pomaga ona w zrozumieniu i w rozwiązywaniu praktycznych problemów, które stają przed ludzkością. Oto próba nie tylko jej społecznej użyteczności, lecz i jej prawdziwości”³⁾.

Stosując to kryterium do oceny pracy Cornfortha, trzeba powiedzieć, iż spełnia ona z powodzeniem swoje zadanie, a mianowicie zbadanie i skrytykowanie tzw. „czystego empiryzmu”, stworzonego przez Berkeley’a oraz różnych kierunków logiki nowoczesnej, przy czym teza naczelna, która Cornforth uzasadniał, było, iż „współczesna filozofia empiryczna — logiczna analiza, logiczny empiryzm i pragmatyzm — w głównych swych zarysach stosują się do tradycji ustalonej dwięście lat temu przez Berkeley’a” (str. 384).

Przedmiotem rozważań pierwszej części książki jest „czysty empiryzm”. „Czystym empiryzmem” nazywa Cornforth „doktrynę twierdzącą, że wrażenie jest źródłem wszelkiego poznania, ale jednocześnie zaprzeczającą że wrażenie to i poznanie odnosi się do materialnego świata, istniejącego obiektywnie poza kręgiem własnych wrażeń i idei” (str. 43-44). (Przedstawiciele: Berkeley, Hume, Kant, Mach i agnostycy). Cornforth tłumaczy społeczne źródła i konsekwencje tej doktryny. Wobec żywego rozwoju nauk, wiążącego się z rozwojem kapitalizmu — idealizm i jego formy religijne stały się poważnie zagrożone. Ale „nowoformujące się kapitalistyczne społeczeństwo nie mogło obejść się zarówno bez nauki jak i bez religii (str. 35). W interesie burżuazji leżało „pogodzenie” jednej z drugą.

Wtedy to biskup Berkeley formułuje swą idealistyczną doktrynę, zapobiegającą zwycięstwu i szerzeniu się nauki i ateizmu. Nie mogąc zaprzeczyć oczywistych prawd i praktycznych rezultatów nauk przyrodniczych Berkeley ustanowił swe naganne założenia na gruncie teorii poznania. Głosił on (i jego następcy), iż poznanie naukowe nie jest poznanie zewnętrzne, realnego świata, lecz poznanie wewnętrzne w człowieku (wrażeń i idei), które istnieją w człowieku same z siebie (lub dzięki jakiejś nadprzyrodzonej, tajemniczej istocie, jak to utrzymywał Berkeley i mistyk Wittgenstein), a nie na skutek oddziaływania na nas niezależnej od nas przyrody. Logiczną konsekwencją takiego poglądu jest tzw. solipsizm (krajcowa odmiana idealizmu subiektywnego), wedle którego nie ma w ogóle materialnego świata, obiektywnej przyrody, jest tylko „Ja” a to „Ja” to tylko samoistne wrażenia i idee. Nauka więc, z punktu widzenia czystego empiryzmu jest użyteczna, ale nie można na niej polegać w taki sposób, jak to robią materialisci, dotyczy ona bowiem tylko naszych wrażeń i co najwyżej ustala jakieś prawdziwości w układach naszych

wrażeń. A zatem wedle subiektywnego idealizmu prawdę głosi zarówno nauka, jak poeja, jak każde wiązanie idealistyczne (supranaturalistyczne).

Ta godząca w podstawy nauki doktryna, jak wykazuje Cornforth w 6 rozdziale książki, referując krytykę Engelsa i Lenina, opiera się na wyrażnie fałszywych przesłankach. Po pierwsze, poznanie naukowe osiąga się nie na drodze poznania własnych, prywatnych wrażeń i idei, lecz w społecznej praktyce. „Poznanie jest sprawą publiczną, a nie prywatną: jest wspólnym wytworem i wspólną własnością wielu ludzi, zorganizowanych w społeczeństwo, a suma poznania zdobytego przez społeczne współdziałanie nie mogła być osiągnięta przez jakąkolwiek jednostkę, nawet gdyby był to najsprytniejszy empirysta na świecie” (str. 73). Po drugie, ostatecznym źródłem poznania, tym do czego odnosi się nasze poznanie jest obiektywna rzeczywistość, która oddziałuje na nas w ten sposób, że wywołuje w nas wrażenia i idee. Dla uzasadnienia tego Cornforth przytacza słynną odpowiedź Engelsa dana agnostykom. „Niewątpliwie trudno jest — pisał Engels — obalić w ten sposób rozumowania (agnostycyzmu — Z. Ch.) jedynie przy pomocy argumentów. Ale ludzie działali, zanim zaczęli argumentować. Na początku był czyn”. Toteż działanie człowieka rozwiązało trudności (trudności zdobywania poznania przedmiotów materialnych) na długo, zanim mędrkowanie ludzkie wymyśliło je dla swoich potrzeb.

A zatem materializm dialektyczny stoi także na gruncie empiryzmu, w przeciwieństwie jednak do „czystego empiryzmu” utrzymuje i uzasadnia, że poznanie naukowe poprzez „społeczne poznanie”, że się tak wyrażę, wrażeń zdobywanych w społecznym oddziaływaniu na przyrodę, dotyczy świata obiektywnego. „Podstawowym celem poznania jest stworzenie i rozwinięcie poglądów i teorii dostatecznie zgodnych z rzeczywistością natury rzeczy, abyśmy mogli z powodzeniem oddziaływać na te rzeczy” (str. 78). Owo „powodzenie”, praktyczne skutki stanowią sprawdzian naszej teorii, nauki.

Przeprowadzwszy gruntowną krytykę czystego empiryzmu Cornforth tak kończąc rozważania nad nim: „Jest ona (filozofia czystego empiryzmu — Z. Ch.) antynaukowa i reakcyjna, lecz w zamaskowanej postaci. Nie przeczy otwarcie prawdzie naukowej, ale przeciwnie, rzekomo przyjmując prawdy naukowe, pośrednio je odrzuca. Konkluzja ta utwierdza tylko konkluzję poprzedniego rozdziału: filozofia ta hamuje rozwój nauki, powstrzymując postęp materialistycznego oświecenia naukowego oraz wklajając i zniekształcając osiągnięcia nauki” (str. 58).

¹⁾ Maurice Cornforth: Nauka przeciw idealizmowi. Rozważania nad „czystym empiryzmem” i logiką nowoczesną. Książka i Wiedza. 1948. Str. 382.

²⁾ M. Cornforth, cyt. wyd. str. 8. Poczostaje cytaty — z teje książki. W nawiasach oznaczone strony.

ROZMOWY NA DRODZE

(dokończenie ze str. 1)

— Pełowe życia — mówi wreszcie — oddabym tym, którzy by widmo wojny odegnali z nad światą raz na zawsze.

Szoferem, który prowadzi traktor, jest młody chłopak, syn biedniaka z sąsiedniej gminy. Ciężką miał młodocę, występując się bogaczom jako pastuch, a potem parobek. Aż się dwa lata temu zbuntował, wybił bruchałemu gaździe parę zębów i uciekł do miasta. O wojnie mówi gniewnie socyjalnym językiem szoferów: — Niech jasne piorny wytluką tych, którzy zamiast szycować nowe traktory szycują czołgi i wojnę...

Droga kończy się w gromadzie Wilczyńska. Wiąza się z jej terenem bolesne wspomnienia sądecko-gorlickich ludowców i behoczków. O świecie któregoś sierpnia 1944 roku jeden z odcinków tej wsi otoczył silny oddział żandarmerii i gestapo. Z dcmu Wątróbskich, który był najżywcym punktem działań konspiracyjnych i siedzibą jednego z najdzielniejszych żołnierzy Polski Podziemnej, komendanta oddziału LSB Kazimierza Wątróbskiego „Sępa” — wywleki ślepacze jego starą matkę i kilkoro rodzeństwa. Z sąsiedniego dcmu przynęgli jeszcze parę osób i razem je, po godzinny „śledztwie”, zmasakrowanych do niepoznania — rozstrzelali, a dom spalili.

Jedną z pozostałych przy życiu siostr „Sępa” — Zuzanna jest aktywistką Powiatowego Zarządu ZMP w Nowym Sączu. Jej smągła twarz na wspomnienie minionego staje się błaga jak parafina. Czarne oczy wlotgłotnie, ale zaraz opanowuje się i głosem zmatowiałym od wzruszenia mówi: — Młodzież polska nie rośnie po to, aby ginąć za dolarowe interesy kapitalistycznych rekinów. Ona rośnie po to, aby walczyć, ale walczyć o zdobycie wiedzy, o szybki rozwój socjalistycznej ojczyzny — aby żyć dla jej i własnego szczęścia.

JÓZEF BIENIEK

STANISŁAW MEDELSKI

POWIEŚĆ O KAPITALISTYCZNYM CYRKU

Ze względów przede wszystkim poznawczych w pełni przyklasnąć należy inicjatywie Erwarda Bassa, znanego czeskiego dziennikarza, felietonisty, satyryka i historyka kultury, który za temat swej jedynej obszernej powieści¹⁾ obrał egzotyczny świat cyrku, wykazując przy tym pedantyczną wprost znajomość życia i sztuki cyrkowej.

Edward Bass należy do starszej generacji współczesnych czeskich pisarzy realistów, którzy swą działalność artystyczną rozpoczęli już w pierwszych latach naszego wieku. Wydano obecnie w przekładzie polskim jego książkę pt. „Cyrk Humberto”. Mimo iż tematem powieści jest międzynarodowa „zbieranina” pozornie wyzolowanych z życia społeczeństw europejskich cyrkowców — Bass, ukazując na przestrzni czterech pokoleń powstawanie, rozwój i upadek Cyрку Humberto, potrafił z dużą siłą wyrazić artystycznego powiązać losy tego pozornie „autonomicznego” przedsiębiorstwa z kierunkiem rozwoju ustroju kapitalistycznego.

Rodzący się kapitalizm daje możliwości rozwojowe sztuce cyrkowej, która dziedziną tradycje średniowiecznego kuglarstwa grodowego. Ale w miarę postępowania stabilizacji nowego ustroju, zaczyna się rozkład i upadek sztuki cyrkowej. „Burżuazja odarła z aureoli świętości wszystkie rodzaje zajęć, które cieszyły się dotychczas szacunkiem i na które spoglądano z trwożną czcią. Lekarza, prawnika, księdza, poeę, uczonego zamieniła w swoich płatnych najemnych robotników” — czytamy w „Manifestie Komunistycznym”²⁾. Podobnie stało się z Cyrkim Humberto. Znajdując się stale i bezwzględnie walece konkurencyjnej z innymi przedsiębiorstwami cyrkowymi, Cyrk Humberto musiał w końcu zrezygnować z troskliwego pielęgnowania sztuki akrobaticznej i hippicznej. Musiał w ostateczności pójść na schlebianie niewybrednym gustom stałych bywalców — płaskich drobniomieszczuchów.

Bardzo trafnie podchwytuje Bass fakt, że kryzysy gospodarce kapitalizmu szybko odbijały się na zamowieniu rozwoju sztuki. Oto co powiada wielki kapitalista Hugenberg do właściciela Cyрку Humberto: „Cyrk to, proszę pana, na-

prawdę piękne i pełne powabów przedsiębiorstwo, ale musi pan sobie jasno uświadomić, że z gospodarczego punktu widzenia jest to, żeby ta rzec, paszoży. Wiedzie mu się świetnie, póki ludziom się dobrze powodzi, ale dla świata, gdy się zalamie, pierwszą rzeczą, której się wyrzeknie, jest rozrywka...”

Stwierdzając trafne ujęcie przez Bassa dziejów Cyрку Humberto w ścisłym związku z rozwojem społecznym, musimy jednak zwrócić bacniejszą uwagę na jego metodę pisarską. Mimo wszystkich walorów trudno byłoby zaszerzować „Cyrk Humberto” nawet do rzędu utworów mieszczańskiego realizmu krytycznego. Jest to po prostu nieskomplikowany opisowy realizm, spokrewniony blisko z naturalizmem. Po przeczytaniu powieści stwierdzamy, że Bass na 560 stronicach przedstawił dzieje upadku i kleski cyrku w ustroju kapitalistycznym. Równocześnie jednak z łatwością zauważymy, że Bass nie tylko nie dostrzegł kierunku rozwoju kapitalizmu, lecz tego rodzaju ujemne cechy systemu kapitalistycznego, jak kryzysy gospodarcze, wyższy, bezwzględny walkę konkurencyjną itp. Pojmował jako wieczne istniejące cechy społeczeństwa ludzkiego. W związku z tym w książce roi się od nie wiadomych wynikających z klasowego ograniczenia fałszywych obiektywnej rzeczywistości.

Oto kilka przykładów: Młody Czech Vandelin Malina, wywędrował w poszukiwaniu pracy do Francji. Tam, pozostawiony swemu losowi, zniechęcił się do obcego środowiska i zapragnął wrócić do Czech. Nie znalazł jednak ani drogi do domu, ani nie posiadał środków na podróż. Wtedy właśnie natyka się na niedawno powstały cyrk Humberto, którego właściciel podejmuje się zabrać go ze sobą do Pragi. Malina pomoc tę ma opłacić swą pracą w cyрку. Bass kreuje w związku z tym Humberta na wielkiego humanitarystę, który zlitował się nad ubogim, osamotnionym młodzieńcem i przysparzał go troskliwie do siebie. Jednocześnie dowiadujemy się, że zanim Cyrk Humberto trafił do Czech, Malina przewędrował z nim całą Francję, Holandię, Niemcy, Szwajcarię i Wochoy, pracując jako robotnik od

świātu do nocy jedynie w zamian za nędzne wyżywienie.

Podobnie rzecz się ma z czeskim murarzem Karasem i jego synem Wackiem. Trzeci z kolei dziedzic Cyрку Humberto, Piotr Berwitz, przyjmuje starego Karasa do pracy, ale równocześnie bezpłatnie wykorzystuje pracę siedmioletniego Wacka. A pracy chłopiec miał niemało. „Wszystkie jest pełno rzeczy i spraw, które Wacek musi śledzić i zgłębiać. A ile jest tego, co on sam musi robić — czytamy w powieści. — Jeżdżą z miasta do miasta, a on na Mary musi być odpowiedzialny za pozostałe trzy kucyki, które galopują przy jego boku. Gdy zatrzymają się gdzieś na nocleg, natychmiast trzeba stawiać przenośną stajnię. Wacek staje więc przy wyznaczonych mu płótnach i szybko łączy je sznurowaniem. A zaraz potem trzeba lecieć ze stajennymi po słomę, po owies, po siano, po wodę. Trzeba wytrzeć koniki wiechciami słomy i naturalnie opatrzyć im kopyta, jak tego co dzień wymaga Hans... Gdy przyjdzie wyznaczone na postój miasto, trzeba pomóc i przy budowie namiotu, więc Wacek morduje się ze stopniami i ze składanymi krzesłami do łóż. Po zmontowaniu obwodu areny nadjeżdżają wozy z trocinami... Pełno jest przy tym wszystkim roboty dla chłopca takiego jak Wacek, którego każdy do pomocy zawoła i który dobry jest na tysiące poleceń.”

Jest to oczywiście jeszcze jeden dowód na najbardziej perfidny wyszpek nieletnich — ale Bass usiłuje zagadnienie ustawić w całkiem innej płaszczyźnie: czytamy bowiem dalej o korzyściach moralnych i wychowawczych, jakie uzyskiwał Wacek dzięki (darmowej) pracy. Z toku powieści jednak wynika, że gdyby przypadkowo wśród robotników cyrkowych nie znalazł się ex-inteligent czeski, Wacek nie tylko zapomniałby w tej międzynarodowej mieszaninie swego ojczystego języka, ale pozostawił także na zawsze analfabetą — mimo swej nieprzeciętnej inteligencji i wszechstronnych uzdolnień. Bass przedstawiając te fakty nie umie odkryć kryjącego się za nimi oblicza wyzysku.

Inny niedostatek powieści: w

klasowo zróżnicowanym społeczeństwie cyrkowym Bass nie dostrzega antagonizmów społecznych. W Cyрку Humberto między robotnikami i artystami a dyrekcją panują idylliczne stosunki wzajemnego zaufania i chrześcijańskiej miłości bliźniego. Na próżno jednak upięksha Bass postać „dobrego” dyrektora Berwita, który potrafił doskonale godzić swą (wątpliwą) zresztą wartości) etykę chrześcijańską z naturalną potrzebą stałego wzbogacania przedsiębiorstwa. Te partie powieści, mając za podstawę z gruntu błędne założenia ideowe, rażą czytelnika sprzecznościami wewnętrznymi i nieudolnością artystyczną.

Podobnych przykładów można by podać wiele. Obniżają one w licznych punktach wartość książki jako cennego dokumentu poznawczego, przekazującego bogatą wiedzę o rzeczywistości kapitalistycznej. Książka jest jednak mimo wszystkich swych, ukazanych wyżej braków, książką, żywą, książką posiadającą wysokie wartości humanistyczne.

Z powieści Bassa przebija optymizm autora — jego wiara w moralne wartości człowieka. W „Cyrku Humberto” Bass podjął próbę rehabilitacji sztuki cyrkowej, tak bardzo sponiewieranej i zepchniętej do rzędu okupującej smierzy przez kapitalizm. Bass ukazał, że artyści cyrkowi to nie jacyś kiermaszowi szlarlatani, ale ludzie o wysokiej etyce, ludzie miłujący swą tak niewdzięczną i niebezpieczną sztukę, ludzie, którzy potrafią wiele dla niej poświęcić.

Z tym właśnie wiąże się istotna wartość „Cyrku Humberto”. Dzięki takiej postawie autora, książka staje się aktem oskarżenia ustroju kapitalistycznego, który dorobek kultury i sztuki przelał na pieniądze, czynił zeń przedmiot brudnej handlowej spekulacji.

1) Edward Bass: „Cyrk Humberto”. Wyd. „Książka i Wiedza”, 1950. Z czeskiego przełożył Zdzisław Hierowski. Stron 560.

2) Patrz: Karol Marks: „Dzieła wybrane” t. I Wyd. „Książka i Wiedza”, 1947 r. Str. 172.

FAKTY i ZDANIA

Szkoła dla młodych krytyków

Odpowiedzcie mi, ile dawniej bywało ludzi z gminy na odpuszcze? Ile żywa teraz ludźmi na wyborach do Gminnego Zarządu Z.S.Ch.? Odpowiedzcie, że 2.000 to wielka, imponująca liczba na gminę w takich okazjach. Nasz korespondent J. Bartoszewski podaje, że na wystawie „książki i prasy” w Świętochowie, stolicy gminy, było jednego dnia 2.000 ludzi. Ten fakt ma wymowę! Gmina (6-10 wsi) to 3-6 tysięcy ludności. Na wystawę książki gmina odpowiedziała popolitym ruszeniem. Biblioteka zawiera 1.600 tomów. Korespondentowi rzucili się w oczy wśród rozłożonych na stoiskach książki: „Pan Tadeusz”, „Lalka”, „Odpowiedź posłów greckich”, „Pamięć pedagogiczna”; Pawłowa „Mózg i jego mechanizm”; Tiesenkowej „Kosmogonia układu słonecznego”; Kremenienkiewicz: „O Wielkim Stalnie”, „Chleb” — Tolstoj, Cykl Wiedzy Powszechnej; Wiedza i życie, Słownik polskorozyjski.

A co zapamiętali co zwróciło uwagę innych? Oto pytanie, ważne pytanie. Gdyby tak chodziło na tym książkowym kiermaszu wśród tłumu starych chłopów, babinek, żeńskich młodych, dojrziałych czterdziestaków, młodzieży i dzieci i słuchać i pytać — dwa tysiące ludzi! — jakąż listę wypisałoby się książek, zainteresowań, jaką listę motywacji: dlaczego te i te, a dlaczego nie tamtą?

Prawdziwie stracona okazja. Na takim kiermaszu i dwudziestu młodych krytyków nie byłoby za wiele. Jakżby zebrałby plon, jakie wynieśli by wielkie doświadczenia. Fajdziejew,

przeprowadzając ocenę krytyki literackiej, mówił o potrzebie i konieczności porównywania przez krytyków książek z rzeczywistością, wiedzy o rzeczywistości, jaką powieści przedstawiają. Bezpośredniej wiedzy o czytelnikach — bohaterach utworów.

Na takim kiermaszu, nad straganami książek (już nie jarmarcznych i odpustowych) młodzi krytycy uchwyciliby nowe tężno, jakie było wśród tych dwu tysięcy ludzi ze wsi. Nowe gusta, nowe potrzeby, nowe postulaty, nową radość i wdzięczność. Takie kiermasze to dobra szkoła dla krytyków, którzy mają iść nie tylko razem z pisarzem, ale z nowym, masowym czytelnikiem.

Dwa tysiące ludzi (dorosłych i dzieci) czytało w Świętochowie na transparentie słowa prezidenta Bieruta: „Konieczna jest na całym froncie kulturalnym ofensywa w kierunku upowszechnienia i udostępnienia kultury dla całego narodu”. Czy zaryzykujecie przypuszczenie, że hasła tego nie zapamięta 2.000 zwiędziających? Zapamięta i poniesie do innych na gminę. Pierwszy w Księdze Pamiętkowej wystawy wpisał się chłop nazwiskiem Dymalski „Zwiedziłem wystawę biblioteki gminnej z zadowoleniem, że książka na wieś dociera i że my z tego bogactwa możemy czerpać pełnymi garściami”.

Was brakuje, młodzi krytycy, młodzi socjologowie aby najobszerniej dopisać co, w jakiej kolejności i dlaczego chcą czerpać z piśmiennictwa chłopów w toku przemian na wsi.

p.ch.

Wielkość nowych czasów w nowelach filmowych

W „dniach filmu czechosłowackiego” wyświetlano w Warszawie również krótkometrażówki rysunkowe. Na pełny program dwugodzinny złożyło się ich chyba aż siedem. Seanse cieszyły się powodzeniem. Przede wszystkim dlatego, że były to właśnie komiczne filmy rysunkowe. Ale dlaczego nie miałyby mieć powodzenia seanse, złożony z 4-5 realistycznych nowel, czy opowieści filmowych?

Stawiam to pytanie w związku z konkursem reportażowym we „Wsi” i nową falą reportażu. Ile w nich znajduje się gotowych nowel filmowych i raczej nie do rozwinięcia w długometrażowy film, a właśnie do utrzymania w granicach noweli. Jest w czym przebierać, ale jest też sporo do wybrania. Można by młodych reżyserów puścić na pierwsze, ambitne opowieści filmowe. Cykl pełnosenansowy kto wie, czy nie stałby się wydarzeniem artystycznym. Filmy przypisywujemy wielką rolę wychowawczą. Stale kina zaczynają osadzać się w gminach, Zapoczątkowują na wsi rewolucję kulturalną. Tu kiedyś odegrały, a jeszcze po dziś dzień odgrywać wielką rolę nowele pozytywistyczne, do nazw pospolitych zeszły tytuły takie, jak „Janko Muzykant”, „Antek”, „Za chlebem”, „Latarnik” itd. Nowele filmowe swoją krótkością i zwięzłością, hasłowym problemem, plastycznie skoncentrowanym mogą artystycznie i ideologicznie łatwiej i mocniej być przyswojone przez milionowe masy widzów, a co najmniej nie muszą być gorzej przyjęte.

Sięgam po pierwsze z brzegu przykłady. Oto opowiadanie Niewiarowskiego o Apryście (w poprzednim nr. „Wsi”), Martuszeńskiego o Brygadziście P.G.R-u Wnuku, Koryckiego o Plantatorze buraka Sempku.

O Apryście wiedzą ludzie w Polsce, wiedzą dlaczego otrzymał tytuł Budowniczy Polski Ludowej. Reportaż Niewiarowskiego cufa czytelnika i przyszłego widza w przeszłość przedwojenną. Daje filmowo niezwykle zestawienia. Oto 37 własności ziemskich i przemysłowych (kopalnie, elektrownie, fabryki, tartaki, cegielnie, kamieniołomy) ks. pszczyńskiego.

Oblaskawianie egzotycznych zwierząt?

Targi Poznańskie zwidziło już milion dwieście tysięcy osób. Ciekawie, co opowiadają ludzie o Wystawie, jak opisują jej architektoniczne i sceniczne rozwiązania. Bo przecież w takiej sprawie i organizacji dane im były do obejrzenia maszyny i towary.

Ogłoszony został konkurs z dużymi nagrodami na reportaże o Wystawie. Warto by przeprowadzić w gazetach ankietę, dla czytelników-wycieczkowców, niechby dali wyraz swoim wrażeniom z Wystawy. W pismach wiejskich miałaby ankietę tym większe znaczenie, że chłopów, którzy zwidliłli Wystawę, było tylko 30.000. Należy zatem ich głosami spopularyzować na wsi Wystawę.

Recenzje teatralne piszą nieleżni — fachowi krytycy. Publiczność — przez recenzje pogłębia swoje zrozumienie sztuki. Utrwała oceny recenzenta, jego ujęcie, określenia. Wrażenie ze sztuki po recenzji przebudowuje się w zdolność opisaną sztuki, zaszeregowania jej, pojęciewego zapamiętania. Okazja taka, jaką daje Wystawa Targów Poznańskich, powinna być wykorzystana do recenzji masowej. Recenzji uczestników! Ankietę głosów chłopów utrwaliby opinię reprezentatywną dla młodych i średniorolnych. W treści sojuszu chłopsko-robotniczego wniosłaby nowe, głębsze zrozumienie zna-



Prasa na jarmarku

OD ŚWIETLICY DO SPÓŁDZIELNI

W dyskusji o roli i zadaniach świetlicy na wsi wchodzimy w nowy etap. Otwiera go fakt powstania około 1.000 wsi spółdzielczych obok kilkuset PGR-ów i Państwowych Ośrodków Maszynowych. Ta nowa baza uspołecznionej i opartej o środki mechaniczne produkcji w rolnictwie tworzy nowe warunki dla rozwoju świetlic, dla wzbogacenia treści jej działalności i podniesienia jej znaczenia w rewolucjonizowaniu kulturalnym wsi. Mamy tu na myśli nie tylko sytuację świetlicy na wsi spółdzielczej, czy na socjalistycznym majątku państwowym lub Ośrodku Maszynowym. Jak również nie tylko sytuację świetlicy, prodmieniującej z tych ośrodków na okoliczne, nierezerwowane wsie.

Fakt powstania 1.000 wsi spółdzielczych mówi o nowej roli, o nowych zadaniach świetlic na wsiach starego ładu.

Ten moment przełomu niech zilustrują dwa przykłady, jakie czerpiemy od naszego korespondenta.

Pierwszy mówi o świetlicy we wsi uspołecznionej, w Przylęczku. W informacji korespondenta uderza historyczne znaczenie tej świetlicy. To Ona doprowadziła do powstania spółdzielni produkcyjnej!

„Świetlica w Przylęczku o 150 mieszkańców nie jest jeszcze stałą czynną. Lokal wykorzystywany jest na akademie i zebrania.

Zespół dobrego czytania istniał przez cały okres zimy 1948/49 i liczył 17 mężczyzn i 3 kobiety. Praca związana ze świetlicą przeprowadzona jest przez starszych. Na 35 uczestników, licząc przeciętnie, 4 to młodzież, 10 osób w latach od 20-30, 21 osób ponad 30 lat. Do biblioteki należy 11 rolników, 1 pracownik umysłowy i 18 młodocianych ze szkoły. Największą popularnością cieszą się książki Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej, Żeromskiego. Z czasopism poczytna jest Gromada i Słowo Ludu. Kurs, prowadzony przez nauczyciela, dla analfabetów liczy 7 osób. Świetlica, choć nie prowadzi właściwie żadnego zorganizowanego życia, ma swój wpływ na mieszkańców Przylęczka. Odczuwa się to we wzrastającym czytelnictwie, w uaktywnieniu społecznym i politycznym jej uczestników. A przede wszystkim wynikiem zebrania świetlicowych jest założenie spółdzielni produkcyjnej”.

Za panowania sanacji chłopów w Przylęczku czytali potajemnie „Czerwony Sztandar”, było kilku powiązanych z KPP. Można sobie wyobrazić te zebrania konspiracyjne z tematem głównym, dyskusją, sprawami bieżącymi, z pieśnią republikańską. Każdego 1 Maja na tołkach topały czerwone sztandary. W 1943 zawiązuje się tu PPR, w kole 60 chłopów. Jasne, że myśl założenia „Wspólnoty” wyszła z koła partyjnego, że akcje zebrania, dyskusji, materiałów, przykładów ono zorganizowało. Ale w taktyce przekonywania użyto jako narzędzia świetlicy, jej szerokiego wachlarza form oddziaływania. Ideologiczna praca tu miała najpełniejsze warunki przekucia starych wyobrażeń, nawyków i oporów na nowe myślenie, nowe pragnienia.

Spółdzielnia od wiosny dopiero pogłębiać będzie we wspólnej pracy kolektywnej więź społeczną członków. I w tym okresie — w planie świetlicy przewiduje się urządzenie z dziećmi stałych wieczorów świetlicowych, zwiększenie ilości pogadanek, referatów, od-

czytów w zakresie samokształcenia, przyciągnięcie żeńskich, zorganizowanie zespołu teatralnego, stałe czytanie czasopism i stałe miejsca spotkań i rozmów sąsiadów.

Drugi przykład. Oto co pisze korespondent:

„Skroniów pod względem społecznym i gospodarczym przedstawia dość jednolity charakter. Na 113 gospodarstw 100 jest małorolnych, 13 średniorolnych i 2-3 bezrolnych, pracujących jako rzemieślnicy. Na razie o spółdzielni produkcyjnej tutaj głucho. Dobra ziemia i ogólna zamożność nie skłania chłopów do założenia spółdzielni. Skroniów leży niedaleko powiatowego miasteczka Jędrzejowa — gdzie uczy się duży procent młodzieży. Na ogółem 41 osób kształcących się w gimnazjach, w szkołach zawodowych i na wyższych uczelniach, 15 chodzi do Jędrzejewa. Młodzież ta przede wszystkim żyje świetlicą i żyje dla świetlicy. Prowadzi całą robotę świetlicową. Oczywiście w czasie wakacji i ferii świątecznych frekwencja w świetlicy znacznie wzrasta.”

Co w tym przykładzie zwraca uwagę? 41 młodzieży studiuje, 15 co najmniej gimnazjistów jest każdego dnia na wsi. A wieś z powodu „ogólnej zamożności” — „nie skłania się” do myśli o spółdzielni, gorzej, na ten temat jest tu „głucho”. Odpokąd do dobra gleba i „względna zamożność” (małorolność i średniorolność) miałyby być zapórą dla zwiększenia zamożności? Zapora dla rozważań nad lepszym jutrem własnym i dzieci?

W Skroniowie świetlica ma długą tradycję. Rozpoczęli w niej pracę „Wiciarze” od r. 1928. Było tu i przysposobienie rolnicze i kółko teatralne i biblioteczka (60 tomów). W r. 1945-6 świetlica przesyła okres wzmożonej aktywności. Oddziaływała na wieś okoliczną. Nie znamy szczegółów, nie wiemy, co zawierał i wyrażał ten renesans świetlicy. Możemy domyślać się, że jej odrodzenie wywołała walka między nurtem konserwatywnym a radykalnym w „Wiciach”, że to na fali demokracji „Wici” a potem zjednoczenia młodzieżowego ożyła świetlica. Ze proces zjednoczenia młodzieży, torując drogę jednemu robotniczo-chłopskiej, wywołal twórczy ferment wśród starszego pokolenia na wsi. Uczynił ją atrakcyjną i ważną dla gromady i okolicy. A teraz, jak pisze korespondent młodzież w świetlicy „tworzy zamknięte koło”, nie wciąga starszych, „brak walki klasowej, życie z dnia na dzień chłopów skronieckich odbija się w specyficzny sposób na pracy świetlicy”. Nie brak walki — należałoby poprawić korespondenta — ale walka o stare, o trwanie we względnie dobrobycie, to oddziaływała na kształcąca się młodzież w świetlicy. Ilez ona ma już z liceów do powiedzenia, a jest tak, że smarzy się we własnym sosie. Dlaczego? Dlatego, że poruszyc wieś i okolicę mogłaby nowym na tym etapie. I tylko tym nowym! U podstaw jej ideologicznych założeń w pracy świetlicowej musi leżeć perspektywa tego nowego. Czyli musi wejść na drogę jaką przebył Przylęczek: od świetlicy do spółdzielni! Nie idzie tu o tempo. Idzie o nową rolę, o nowe zadanie świetlicy. Bez tego szoku w roli i zadaniu świetlicy będą wegetować, żewać zakres swej działalności, schodząc poza oś głównej walki klasowej na wsi.

PIOTR CHMURA

Zostań korespondentem prasy robotniczo-chłopskiej

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROI, Redakcje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starowkiewicza Nr. 7.

Tel. Ted. Nacz. 727-88. Tel. Redakcji 751-80 do 89, wewnętrzny 23 i 97

Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAW. - OSW. „C Z Y T E L N I K” REDAKCJA NIE ZAMÓWIANYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wiedza”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik”, Marszałkowska 3/6

B-11141

bił dla potwornych turbin, gilotynowych nożyc „coś w rodzaju areny albo raczej ogródka zabaw” (arena albo ogródek!). W ogródku szachownicę, na kilku poziomach i w kilku kolorach i tak na „różnokolorowej przestrzeni” przełamal statyczność maszyn, pokazał je „jakby w ruchu”. W jakim ruchu — pytanie? Oczywiście, nie mającym nic wspólnego z funkcją tych maszyn w produkcji, że znaczeniem ekonomicznym dla kraju.

„Inż. Gierula uczynił ze swych maszyn, to co potrafi uczynić jedynie obdarzony wielką mądrością i

dobrocią, miłośnik egzotycznych zwierząt, oblaskawiał je”. Nabraly „wdzięku i lekkości” — jak zabawki w ogródku dziecięcym.

Inż. Gierula! Oto macie karykaturę waszej reżyserii. Historyk sztuki pierwsze, wstępne wyobrażenia gigantycznego Planu 6-letniego, jakie miała dać Wystawa, rozbroił w swojej recenzji do cna.

Przywróć ją masowe głosy robotników i chłopów. Niech oni utrwalą potoczna, powszechnie obowiązująca opinię o Wystawie!

Trzeba ogłosić ankietę!

M.L.

Piotr Stopczyk

Umarł w tych dniach Piotr Stopczyk. Pisarze, którzy obradowali na Zjeździe Rytwiańskim w r. 1947 (a było ich stu) pamiętają postać tego starca, godziami niezmordowanie wsłuchującego się w referaty i dyskusje. Pamiętają, że zabierał głos. Zawsze krótko, splatając wypowiedzi ludowymi przysłowiami i w rytmie ludowej aforystyki. Pamiętają, że były to okrzyki radości „myśliciela, muzyka i wierszokłety” (jak sam się zwał), który w 74 roku życia dotarł do redakcji pisma literackiego, do kręgu pisarzy i stał wśród nich jak widomy znak uciemiężonej przeszłości, która na nas młodych i wolnych składa swe błogosławieństwo, swe niewywołane przez dziesiątki lat marzenia i porwy artystyczne. Wszyscy rozumieliśmy te wzruszający fakt.

Stopczyk urodził się w dziesięt lat po zniesieniu pańszczyzny. Ojciec miał na wsi pod Łodzią cztery morgi i jedną krowę. Ani czytać ani liczyć nie umiał, pieniądze rozpoznawał po „kolorze”. W 14 roku życia idzie młody Stopczyk do Zgierza szukać pracy, wchodzi w krąg „ziemni obiecanej” i na fabryce od robotników uczy się pisać i czytać. Wrócił w niewiele lat potem na wieś, na wydmuchówkę piaskową. Wyminał burze proletariatu łódzkiego. Nie wziął od nich ognia. Był to jedyne iskry, jakie mogły rozbudzić do stanu świadomości i pisemnej użytkowości jego zdolności literackie. Wrócił w wiejski świat, gdzie przed laty książkę głosił „kto się zna na piśmie, ten się w piekło ciśnie”, a matka modliła się „aby Bóg dał te łaski aby książkę nie czytał”. W redakcji u nas 74-letni Stopczyk mówił zawzięcie: „mam za wiele żalu do tych, co utrudniali naukę”.



„By mnie los dobry wystuchał chciał”

Co potrzebuję, żeby mi dał Bo Demokracja nie baletnica dla ludzi pracy nie dla księżycy”. Czego chciał ten starzec? Być wśród pisarzy i uczonych. Słuchać ich, uczyć się, chłonąć nowe, naprawdę nowe.

Jak to pięknie brzmi akord wsi rozspiewany, jak poranek w dzień pogodny po burzliwej nocy chłodnej cichy, uradowany.

A. K.

U młodych korespondentów

W Nowej Wsi zaprawia się młody korespondent wiejski. W pierwszych próbach popelnia błędy, ma niedociągnięcia. Trzeba mu pomagać, objaśniając na czym polegają typowe błędy korespondencji terenowej i dawać przykłady dobrych sprawozdań, na jakie stać winno bardziej wyrobionych kolegów redaktorów.

Ostatni Nr. Nowej Wsi (21) dostarcza materiału do kilku krytycznych uwag. Z korespondencji ze wsi Kozłów dowiadujemy się, że przewodnicząca koła Z.M.P. jest młodzieńką nauczycielką, dzięki niej „koło wspaniale się rozwija”. „Zetempowcy prowadzą w swojej gromadzie zaciętą walkę z bogaczami, w której przewodnicząca bierze czynny udział”.

Przewodnicząca jest jeszcze tak młoda, że ma czas na jubileuszowe akademie, koło natomiast ma obowiązek w swoim piśmie dowiedzieć pochwały, jaką samo się obdarzyło: na czym to mianowicie polega „wspaniale rozwój koła”? O, tu jest o czym powiedzieć. „Zacięta walka z bogaczami”? Przy jakich okazjach, o jakie sprawy, przez jakie zgrzebanie i jakie zwycięstwa? O, to trzeba dokumentalnie opowiedzieć. I wtedy dopiero jest się korespondentem.

W innej korespondencji przedstawia się dzweczynę wiejską, która pracuje i przerabia gimnazjum korespondencyjne. Ale autor źle pojął znaczenie nauki. Uczynił z niej narzędzie drobniomieszczańskiego awansu.

„I właśnie, wtedy gdy zrozpaczonej Jance zdawało się, że już do końca życia będzie zmuszona pracować w swojej włości, sprzedając cukier i zapalki (w spółdzielni), właśnie wtedy dowiedziała się o Korespondencyjnym Gimnazjum”. Czy to dramat pracować w swojej włości, pracować w spółdzielni! Kiedy dostała się do spółdzielni już osiągnęła pewien awans. Awans do większej użyteczności społecznej. I jeśli robi licem to po to aby zaawansować do jeszcze szerszej użyteczności i odpowiedzialności społecznej. Trzeba przemyśleć zagadnienie awansu. Niech redakcja ogłosi ankietę na przykłady awansu. Sprawa się wy-

T. P.